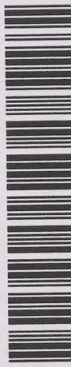


Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego“,
w Krakowie, ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112 905.



01524337P

„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. :: ::
Przedpłatę rocznie **9 kor.**, półrocznie **4 kor. 80 hal.**
 ćwierćrocznie **2 kor. 40 hal.** — należy przysłać na ręce
Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie,
 ul. Wiślna 2. (biuro M. Hupeczyca). — W ajencjach na
 prowincji prenumerata kwartalnie **2 kor. 70 halerzy.**

Ogłoszenia: Od wiersza I-lamowego petytem **30 hal.**
 Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat.

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro Marjana
 Hupeczyca ul. Wiślna 2.

Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. 112 905.

Biuro Dzienników MARYANA HUPECZYCA

Kraków, ul. Wiślna 2 - Telefon 340

przyjmuje prenumeratę oraz ogłoszenia
 do wszystkich dzienników.

Wielki wybór artystycznych kart z widokami.

L. 10.
 Męski ankr. remontoir.



Kor. 3,90.

z portretem Kościuszki, Mickiewicza lub z godłem polsk.
 bardzo dobrze idący na min.
 wyregulowany. Na żądanie
 wysyłam darmo i oplatnie
 katalog ilustr. zegarów, ze-
 garków, wyrobów jubiler-
 skich, chińsk. srebra, przy-
 borów, narzędzi zegarmi-
 strzowskich i towarów mu-
 zycznych.

F. Pamm, Kraków, Zielona 130.

Rocznik XIV.

„RODZINA I SZKOŁA“

z dodatkiem
 naukowym

„WIEDZA I PRACA“

Pismo, poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, dalszemu kształceniu nauczycielstwa oraz
 szerzeniu i popularyzowaniu wiedzy.

„Rodzina i Szkoła“ jest najtańszym pismem pedagogicznym polskim.

„Rodzinę i Szkołę“ z dodatkiem naukowym „Wiedza i Praca“ poleca galicyjska c. k. Rada szkolna krajowa
 we Lwowie, reskryptem z dnia 22. marca 1904 l. 10. 299 do wszystkich bibliotek nauczycielskich szkolnych i okrę-
 gowych w Galicyi a śląska c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie reskryptem z dnia 22-go marca 1908 l. 2162 do
 bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Śląsku oraz bukowskińska c. k. Rada szkolna krajowa
 w Czerniawcach reskryptem z dnia 22. marca 1908 l. 2. 162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół
 polskich na Bukowinie.

Rodzinę i Szkołę z „Wiedzą i Pracą“ odznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekar-
 skiej i higienicznej we Lwowie w roku 1907 oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i higienicznej
 w Lublinie w roku 1908.

„Rodzina i Szkoła“ jest pismem szczerze polskim i katolickim.

Prenumerata „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ kosztuje rocznie **8 Mk.**, półrocznie **4,50 Mk.** — Zeszyt
 pojedynczy „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ **0,50 Mk.**

Numera okazowe wysyła na żądanie otwartą pocztą i oplatnie oraz również przyjm. prenumeratę wprost
 Administracya „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie (Galicya) ul. Szeptyckich l. 68 (Gmach Sokoła II-go.)

Prosimy żądać numerów okazowych kartą korespondencyjną, podając dokładnie adres (imię i nazwisko,
 miejscowość i pocztę ostatnią.)

Roczniki z 1904, 1905, 1906, 1907 i 1908 są do nabycia w Administracyi „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie
 ul. Szeptyckich l. 68 po cenie: zbroszurowane **6 Mk.**, oprawne **7 Mk.** (bez porta) za rocznik „Rodziny i Szkoły“
 z rocznikiem „Wiedzy i Pracy“.

3 Korony

wynosi rocznie z przesyłką

pocztową prenumerata - -

Straży Polskiej.

Straż Polska jest organem stowarzyszenia,
 noszącego tę samą nazwę, a ma-
 jącego na celu obronę duchowych i materialnych inte-
 resów narodu polskiego.

Straż Polska nie służy żadnemu stronnictwu,
 jest pismem czysto narodowym.

Do współpracowników **Straży Polskiej** należą:
 prof. A. E. Balicki. K. Bartoszewicz. Dr. L. Caro. Dr.
 J. Flach. Prof. Dr. Tad. Grabowski. Kazim. Gliński.
 Wiktor Gomulicki. Wanda Krzyżanowska. Dr. Kaz.
 Lubecki. Prof. M. Magiera. Prof. Czesł. Pieniążek. Dr.
 J. Ptaśnik. Dr. Lucyan Rydel. Henryk Sienkiewicz.
 C. Smólski. J. E. Stanisław Tarnowski. i t. d.

Adres: **Straż Polska, Kraków, Floryańska 1.**

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacje są wolne od
 opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czy-
 telnikom uwagę na to, iż reklamacje
 koniecznie muszą być nadesłane w
 otwartej kopercie. Reklamacyi w zam-
 kniętych kopertach niefrankowanych nie
 przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam
 za nie podwójne porto.

TYGODNIK



ILUSTROWANY NARODOWY

Ich potęgą.

Wytrwałości w pracy nad osiągnięciem wytkniętego celu, uczyć się nam od Niemców!

Dążą oni do celu tego wytrwale, choćby wszystko przemawiało za tem, że go jednak nie osiągną, choćby wszelkie fakta dowodziły jasno, że na nic są wszelkie starania.

Mamy tu naturalnie na myśli dążenie Niemców do wynarodowienia, do zgermanizowania nas. W zeszłym dopiero numerze wskazaliśmy, omawiając krótko 25-lecie „błogiej“ działalności Komisji kolonizacyjnej, na jedną z tych potęg, która do prowadzić ich ma do celu. Potęgą tą miliony! Wykazaliśmy tymczasem, że mimo ćwierćwiekowego operowania tą potęgą na naszą zgubę, nie wyrządzili nam bynajmniej takiej krzywdy, jak się spodziewali. Żyjemy bowiem, i to w wierze niewzruszonej, że żyć będziemy.

A jednak oni nie dają za wygraną!

Ale miliony to nie jedyna ich potęga. W rezerwie — poza stojącym w związku z milionami wywłaszczeniem i t. p. środkami — trzymają oni inne. Są to t. zw. środki kulturalne, środki, które zaimponować nam mają swą wielkością.

Idąc w Poznaniu ku dworcowi, znajdziemy ich pełno: akademie, teatr, zamek, królujący wśród nich Bismarck. Oto maleńka ich kolekcja. Nie wspominamy tu już o działaczach, którzy „błogi“ swój siew rzucają w tych budynkach, np. sławny sławny statystyk hakatystyczny, prof. Hoetsch.

Najnowszym takim objawem ich potęgi ma być wystawa wschodnio-niemiecka, nietylko objawem ich potęgi, lecz i środkiem do przekonania nas o wyższości prusko-niemieckiej kultury, a zarazem policzkiem, wymierzonym polskości.

Wszak język polski z wystawy, odbywającej się na polskiej ziemi, wygnano zupełnie. Charakteryzuje to najlepiej równouprawnienie, jakiego my doznajemy w państwie, szczącym się, że

przenika je duch wolności. To najboleśniejszy policzek, jaki nas spotyka na wystawie, policzek, odczuwany dotkliwie. Przypominamy tylko głos owego polskiego robotnika, który widział na panoramie z życia Chrystusa napis polski, a potem zauważył, że napis ten polski nagle znikł po pobycie „głowy“ miasta Poznania na placu wystawowym.

Mimo to społeczeństwo miałoby chodzić na wystawę? — miałoby popierać groszem swym krwawo zapracowanym rzecz, stworzoną na pokazanie nam naszej mniejwartościowości, na pokazanie nam, że jesteśmy obywatelami gorszego gatunku, którym odmawia się nawet — języka ojczystego. Ciągnąć nas chcą na wystawę na wszelki możliwy sposób. Nie wstydzą się nawet użyć jako środka reklamy, tego języka, którym gardzą, który wygnali z wystawy — naturalnie nie u nas, lecz za kordonem, w Królestwie Polskiem. Na wystawie samej różne jarmaczne widowiska ściągają mają ciekawych; żydowski jakiś przedsiębiorca chwytą się nawet tak charakterystycznego środka, że zamierza ściągać publiczność polskokatolicką, znaną ze swej religijności, panoramą z życia Zbawiciela.

Jednem słowem geszefciarstwo wstrętne! Gardzą nami z jednej strony, a z drugiej strony chcieliby naszych groszy. Wszak są oni czcicielami złotego cielca, przed którym — ich zdaniem — wszystko pochylić się powinno.

Niestety jest dużo wśród nas, co zdają się nie odczuwać tych narodowych policzków, jakie nam wymierzają przez tę wystawę i na tej wystawie.

Nędzni kramarze! Oni powiadają, że trzeba nam iść wszędzie, gdzie korzyść pewną możemy odnieść, — choćby nas tam skopano nogami, choćby nas tam opluto, wydrwiono! Tak mówią przecież także ugodowcy, co na obiady uczęszczają do ministrów, ci, co rękę wyciągają w stronę rządu, co żebrzą przed wrotami łask pańskich rządu pruskiego. Idą oni do tych wrót, bo mogą rzekomo odnieść jakieś korzyści! Tak samo, po-

wtwarzamy, robią ci, co wybierają się tam, gdzie nie powinno być dla nas miejsca.

Ale przypatrzmy się „korzyściom“, jakie np. nasz przeciętny rzemieślnik odnieść może z wystawy. Czyż on nauczy się czegoś, zobaczywszy maszyny *wielkiego* przemysłu, maszyny, które u nas wcale nie dadzą się zastosować? Te maszyny mogą mu tylko zaimponować, tak jak mają mu imponować rozmaite jarmacze widowiska, tingle, i inne podobne urządzenia, mające za cel jedyny wyciąganie grosza z kieszeni tych, co się chcą *bawić*, nie uczyć.

Hasłem naszym powinno być: Nie chodźmy tam, gdzie z nas drwią. Hasła tego trzymać się powinien każdy, co choć trochę ma w sercu poczucia narodowego i osobistej godności.

O dobry kasek.

W snach błogich i marzeniach hakatyzm wiódł już, jakie skutki wywrze *wywłaszczenie*.

Śnił hakatysta, że przeszło wszelkie „niebezpieczeństwo polskie“, że wszystkie dzielnice polskie, jakie doznały szczęścia, iż znalazły się pod błogiem pruskim panowaniem, stały się dzięki wywłaszczeniu czysto praniemieckimi, że nigdzie już nie słyhać obrzydłej mowy polskiej, że wszystko, co polskie, jak to mówią, w łeb wzięło, i nasze organizacje społeczno-gospodarcze, i narodowe. Dla hakatysty zapanował jednym słowem raj w „ostmarce“ (dotychczas mimo culałów czuł się wciąż jeszcze nieszczęśliwym), nie widział już nigdzie „maciejówki“ sokolej, polskiego banku, ani — broń Boże — orzełka polskiego, lub obrazu Bitwy pod Grunwaldem. Wszystko to zginęło, przepadło dzięki wywłaszczeniu. Jedynie kolonista niemiecki rozpościerał się wszędzie, nucąc „Dojczland iber ales“ i ćmiąc fajkę, której dym pozbawiał życia nawet polskie — komary.

Tak śnił i marzył hakatysta.

Nagle brutalna jakaś ręka chwyciła go za kark. Budzi się i ku swemu największemu przerażeniu słyszy głos ministra rolnictwa Schorlemiera, że wywłaszczenia w tym roku zastosować jeszcze nie potrzeba, że praca Komisji kolonizacyjnej postępować powinna wolniej, a — co najgorsze — że rząd nie chce wywłaszczać za komendą hakatysty, lecz tylko wówczas, gdy to sam uzna za potrzebne.

Tak, był to dla hakatyzmu cios bardzo dotkliwy i bolesny. Hakatyzm czuł się już niepodzielnym władcą, zwłaszcza w sprawach polskich, a tu naraz rząd ośmiela się mieć własne zdanie,

ośmiela się wyłamywać z pod komendy panów z bractwa trzech liter. Groźny pomruk przeszedł przez szeregi hakatystyczne, posiadające we własnym mniemaniu monopol na patryotyzm pruski. Główny zarząd „prawdziwie pruskich“ ogłosił już płomienną odezwę, wyrażającą rządowi swe lekceważenie, a za nim uczynią to niebawem zarządy poszczególnych posterunków armii hakatystycznej, rozrzuconej wszędzie, gdzie tylko znajduje się cięta pruska urzędnikerya. Obecny wielki kanclerz hakatyzmu, profesor Hoetsch z poznańskiej uczelni wszech nauk hakatystycznych, wykaże za rok, że Polacy wykupili z rąk niemieckich — dzięki takiej gospodarce rządu — co najmniej 100 tysięcy morgów ziemi, że byt Niemczyzny wisi wskutek tego na włosku, a hakatystów dusić będzie po nocach ciężka zmora w polskiej rogatywce, może nawet z kosą w rękę.

Biedny ten hakatyzm, teraz rząd pruski przechodzi nad nim do porządku dziennego!

A tu chodzi tymczasem o tak ważną rzecz, jak — kęs chleba, nie czasem tego powszedniego, ale chleba grubo posmarowanego masłem. A nużby rząd zechciał zerwać zupełnie z hakatyzmem i iść własną drogą! Cóżby się wówczas stało z patryotami, którym dotychczas każde patryotyczne „hura“ płaci się sownie złotem w formie „culag“, w formie dobrych, a tłustych posad.

Dziwić się więc nie można, że hakatyzm widząc się zagrożonym w swym istnieniu, czując, że zamiast chleba pszennego z masłem gotów mu pozostać czarny chleb codzienny, zżyma się i pieni.

Nas tymczasem to, co się dzieje pomiędzy rządem właściwym, a rządem przybocznym nie powinno ani ziębić ani parzyć. Droga nasza powinna pozostać prostą. Będziemy się cieszyć, jeżeli hakatyzmowi nałożone zostaną cugle, ale wiemy, że rząd miłować nas nie będzie nigdy, że do zniemczenia nas użyje może innych, niebezpieczniejszych środków, więcej kulturalnych, mniej gwałtownych.

Spokojnie powinniśmy iść naszą drogą, drogą budzenia ducha obywatelskiego wśród obojętnych dotąd dla sprawy narodowej jednostek, drogą budzenia poczucia obowiązkowości obywatelskiej. Pójdziemy drogą twardej pracy, ciernistą i znojną, nie oglądając się na to, co się dzieje poza naszymi plecami, zapatrzeni jedynie w nasze własne społeczeństwo. Z równowagi nie powinno nas nic wytrącić.

I możemy być pewni, że tą drogą, cicho, spokojnie i rozważnie, dojdziemy do celu — może prędzej niż się spodziewamy.

Posterunek na stracenie.

„Wy idźcie! — Ja z wyborem zostanę młodzieży,
Duszą naszą i ciałem będziecie zakryci;
Na znak ogień zapalim i rozłożym wici,
Teraz idźcie, niech bęben do marszu uderzy.

* * *

Jeżeli jutro z nas który do was nie przybieży,
Dajcie na mszę, niech kapłan ołtarze wyswieci
I za tych modły wzniesie, co w polu zabici.“
Zamilkł — poszli — i ogień błysnął jaśniej — szerzej.

Długo błyskał — żołnierze maszerują drogą,
Znikł — łunę tylko widać w chmurze malowanej,
Może i oni w niebo przyjęci zostaną!

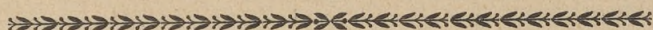
* * *

Świta — jeżeli żyją, wnet powrócić mogą...

Przeszedł dzień — przeszło jutro — nowe błysło
rano!...

Na mszę dajcie! — Zabici! — nie widać nikogo!

Stefan Garczyński.



Polacy a wystawa niemiecka w Poznaniu.

„Lech“ pisze:

Nie ulega wątpliwości, że urządzana w Poznaniu wystawa wschodnio-niemiecka ma charakter antypolski. Niemcom chodzi o to, by zaimponować Polakom olbrzymim swym przemysłem i za pomocą niego zabić wzrastający przemysł polski. Starano się co prawda także o wystawców polskich, lecz był to tylko środek do celu. Liczono na to, że wystawcy polscy, którzy otoczeni wielkim przemysłem niemieckim, muszą robić wrażenie bardzo skromne, staną się wabikiem dla publiczności polskiej tak z zaboru pruskiego, jak i z za kordonu, która pieniędzmi polskimi zapłaci kasę wystawy i uchroni ją od niezawodnych niedoborów. Mimo tej spekulacji na polską głupotę w niczem nie uwzględniano języka polskiego co jest najoczywistszym dowodem charakteru antypolskiego wystawy.

Zdawałoby się więc, że Polacy najzupełniej zignorują wystawę wschodnio-niemiecką. Tymczasem stało się inaczej. Były nawet dość silne prądy, na których czele stał podobno prezes Związku kupieckiego p. szambelan Cegielski, które dążyły do tego, by Polacy gremialnie jako wystawcy wzięli udział w wystawie i skorzystali ze sposobności, by zaznaczyć lojalność i chęć do zgody z współobywatelami narodowości niemieckiej i żydowskiej. Prądy te wszakże nie wzięły góry a skończyło się na tem, że pozostawiono każdemu do woli, czy chce wziąć udział w wystawie, czy też nie. Wobec tego znalazło się kilku Polaków, którzy obesłali wystawę.

Obecnie rozchodzić się więc może jedynie o to, jakie stanowisko zająć ma publiczność polska wo-

bec wystawy. Niestety i tutaj panuje różnica zdań, chociaż sprawa jest jasna jak słońce. Jeżeli wystawa skierowana jest przeciw Polakom i przemysłowi polskiemu, jeżeli najzupełniej pominięty został język polski, wtenczas żadna noga polska nie powinna tam postać. Tymczasem brak poczucia godności narodowej w niektórych kołach naszego społeczeństwa jest tak wielki, że, jak czytamy w „Kur. Pozn.“, niektóre rodziny polskie już dzisiaj zaopatrzyły się w bilety abonamentowe na cały czas trwania wystawy. Takich Polaków obranych po prostu ze wstydu narodowego, jest bardzo dużo. A wszyscy tłumaczą się tem, że przecież wystawa jest poważnym środkiem kształcenia i że dla tego każdy ma prawo z niej skorzystać.

Pomijamy już kwestję doniosłości i ważności wystaw, którym niektórzy ludzie odmawiają tego wielkiego znaczenia, zaznaczyć należy, że dla przeciętnego zwiedzającego wystawy nie mają wogóle żadnej wartości. Zwykła publiczność pogapi się na okazy wystawowe, pokręci z podziwu głową, udając, że wszystko do cna rozumie i — pójdzie na koncert i piwo. Jadynie fachowcy odnieść mogą pewne korzyści, a ci mają do zapoznania się z postępem techniki i zastosowania nowych wynalazków poza wystawą bardzo dużo sposobności. Ostatecznie można przecież jeszcze uwzględnić fabrykanta i przemysłowca, który pójdzie na wystawę, ażeby obejrzeć nowe wynalazki w dotyczącej go dziedzinie przemysłu. Natomiast potępić należy wszystkich tych, którzy z prostej ciekawości i dla zabicia czasu zwiedzać będą wystawę poznańską.

Raz przecież należy Niemcom pokazać, że umiemy postępować zgodnie i solidarnie, że umiemy płacić pięknem za nadobne, a może w przyszłości będą nas i nasz język więcej respektować. Skoro

zaś mimo antypolskiego charakteru wystawy i mimo zupełnego zignorowania przez nią języka polskiego Polacy tłumnie zwiedzać ją będą, natenczas przeciwnik powie sobie: Polaków można kopać nogami i bić po twarzy, a oni mimo tego całują but, który ich kopie, i rękę, która policzkuje, i w przyszłości jeszcze bardziej niż obecnie będą nas lekceważyć.

Kto zatem ma choć odrobinę poczucia narodowej godności, ten na wystawę niemiecką nie pójdzie!



Dom polski i jego znaczenie.¹⁾

Nieraz przychodziło mi na myśl, że ten sam indywidualizm polski, który przyczynił się tak przeważnie do upadku państwa, uchronił jednak od zagłady nasz naród. W tym gmachu, który zwie się Rzeczpospolitą Polską, źle powiązane cegły żyły jasnym życiem i gdy gmach runął — żyć nie przestały. Mocarstwa, które podzieliły między siebie kraje polskie, nie rozumiały i nie mogły rozumieć, że to, co było powodem małej odporności państwowej, stanie się przyczyną wielkiej odporności narodowej. Niezawodnie byłoby stokroć dla nas lepiej, gdyby władza gmachu okazały się silniejsze; niemniej faktem jest, że po nieszczęsnej katastrofie Polskę trzeba było zabijać w każdym domu polskim z osobna, a to już jest rzecz, przechodząca wszelkie państwowe siły.

I taki stan trwał od rozbiorów. Zgaszono wielki Żnierz na forum, ale domowe, patryotyczne ogniska płonęły jasno. Okazało się, że nacisk zewnętrzny, choćby najdłuższy i najbardziej nieubłagany, może przyczynić narodowi męczarni, — zabić go nie może. Idea polska może zginąć tylko samobójstwem, albo z choroby wewnętrznej. Jeśli to się nie stanie, przetrwa złe czasy i w zwykłej kolei spraw ludzkich musi doczekać się lepszych.

Ale takie widoki potęguje jeszcze zadanie polskiego domu. Dawny miał do czynienia tylko z niebezpieczeństwem zewnętrznym, a dzisiejszy musi walczyć i z wewnętrznym. Próżno bowiem wmawialibyśmy w siebie i drugich, że obecnie jesteśmy tak zdrowi, jak byliśmy przed niedawnym jeszcze czasem, i że ta idea, którą nasze

domy przechowały przez cały wiek w nieskalanej czystości, nie zabrukala się w rozterce i mętach lat ostatnich. Dziś nie wśród obcych i nie wśród nieprzyjaciół, ale wśród nas samych są tacy, którzy jej nienawidzą, są tacy, którzy na nią pluą. I ta zaraza wewnętrzna, szerzona przez obce żywioły, obcą szkołę, a w części i przez obcą literaturę, jest największym niebezpieczeństwem, jakie nam kiedykolwiek groziło.

A czy mamy środki ratunku? Zapewne — nie wszędzie nam je odjęto, a tam, gdzie chciano to uczynić, nie zdołano odjąć wszystkich. Mamy w niektórych dzielnicach kraju przybytki wiedzy, mamy na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej polską literaturę, mamy prasę, która jest wybitnym strażnikiem myśli i czynów u drabiny życia publicznego, które przedostają się na wierzch przez wszystkie szpary przygniatających nas głązów. Nie powinniśmy jednak zapominać, że jeśli istnieje prasa pragnąca nas uzdrowić, to istnieje także taka, która nas rozkłada. Jeśli istnieje literatura, potęgująca życie, to istnieje i taka, która pcha ku śmierci. Tę broń mogą pochwytać każde ręce, jak również w życiu publicznym mogą się znaleźć obok budowniczych, burzyciele. Nie w naszym przytem ręku jest oświata ludu i przeważnie nie w naszym wychowanie młodzieży.

Więc przeciw tym wewnętrznym dążeniom do podkopania idei polskiej i przeciw temu niebezpieczeństwu, które istotnie jest groźne, obok wszelkich sił, jakimi rozporządzamy, powinien wystąpić w pierwszym szeregu dom polski.

Niechże ta forteca oprze się i nieprzyjacielowi wewnętrznemu. Niech będzie, jak była dotychczas, piastunem tradycji i patryotyzmu — ale niech dziś już na tem nie poprzestaje.

Tradycję bowiem można przechowywać tak, jak rodzime klejnoty. Dobrze zamknięte nie giną — ale też nie promieniają. Tradycja polska powinna promieniować. Powinna rzucać blask na życie i zabarwiać je. — Patryotyzm może być bierny albo czynny. Nie dość ci tkwić w polskości przez przykład i być Polakiem dlatego, żeś się nim urodził i — potrafisz być kim innym. Obowiązkiem polskiego domu jest wytworzyć tęgą, zwartą i czynną rodzinę, a obowiązkiem rodziny jest wszczepić w dziecko przekonanie, że patryotyzm ma być mu przewodnikiem, wskaźnikiem i celem wszystkich czynów na polu gospodarczym i naukowym, społecznym, artystycznym — słowem: słupem ognistym, o którym mówi poeta, że: „W dzień, jako słońce, w noc, jak żar prowadzi“.

¹⁾ Z książki „Nasz dom“, dodanej jako premium do „Tygodnika mód i powieści“.



SIELANKA.

Lecz i na tem nie koniec. Rozkładowi we-
wnętrznemu niedość jest opierać się, choćby naj-
energiczniej. Należy niszczyć go w jego gnia-
zdach pracą, przekonywaniem, miłością, cnotą pu-
bliczną i przykładem ofiarności. Dom polski ma

wychowywać dzieci tak, aby miały pełną woli
i siłę, aby szukać ognisk zarazy i przeprowadzać
wszędzie, gdzie one się zjawiają, ideową dezynfekcję.
Naród musi się bronić przed epidemią moralną,
tak, jak społeczeństwo broni się przed fizyczną,

a ponieważ zwykle czynniki, powoływane do takiej walki w innych społeczeństwach, nie są w naszym ręku — więc obronę powinien podjąć dom. A gdy się jej podejmie i gdy ją przeprowadzi, spełni naprzód: zadanie narodowe, a powtórne i wychowawcze. Wszczepić w dusze dzieci tak wzniosłą ideę, jaką jest patriotyzm, to znaczy: uszlachetnić je i uchronić od wszelkich lichych i nikczemnych wpływów — to znaczy łakome wszelkich płaskich rozkoszy zwierzęta zmienić w prawdziwych ludzi, a zwykłych „zjadaczy chleba“ w rycerzy wielkiej sprawy.

W domu zaś może tego dokonać przedewszystkiem kobieta. Ojca rodziny odrywają od ogniska pozadomowe obowiązki; matka zawsze jest z dziećmi. Ona urabia materiał ich dusz. To, co ona w nie wszczepi, będzie zawsze tkwiło w ich organizmie. Ona je uodparnia, ona zaprawia je do walki prawej za ideały, ona — przyszłe zwycięstwo.

I ostateczni, od niej przeważnie zależy, by z czasem drobne rodzinne znicze zlały się w jedno spokojne, wielkie błogosławione i powszechne ognisko.

Henryk Sienkiewicz.



Chłop polski w lesie dziewiczym.

Ks. Józef Anusz opisuje w następujący sposób w „Polskim Przeglądzie Emigracyjnym“ wrażenia swoje z *Parany*:

„Gdy wyjdę na balkon domu — w dzień, jak tylko okiem sięgnąć można, widać dymy, a w nocy hen, hen daleko na horyzoncie, czerwienią się łuny — to polscy koloniści palą lasy i „rosy“, przygotowując ziemię pod uprawę. Wszędzie widać życie, wszędzie znać rękę człowieka. I las na całych milach wyłysiał i step stracił dawną swą dziewiczość. Gdzie przedtem niebotyczne piniory i barczyste imbuje, teraz stoją chaty i buja żyto, kukurydza. Na stepach pasą się konie i bydło. A wszystko to stało się tak niedawno, tak raptownie! Jeszcze piętnaście lat temu, na całej przestrzeni mej parafii (parafia Araucaria ma 72 kilometry wzdłuż i 27 wszerz) nie było ani jednego polskiego kolonisty, tylko tu i owdzie, w puszczy siedział „kaboklo“, a jedynymi drogami komunikacyjnymi były ścieżki. Polacy, wychodzący

z Galicyi, osadzeni byli przed trzydziestu laty na kolonii Thomas Celho w liczbie sześciuset rodzin i to byli jedyni i najbliżsi sąsiedzi Araukarii.

Biedny polski przychodźca, dawny parobek i wyrobnik, gdy się dostał do Parany, gdy mu odmierzili czteroalkrowy szmat ziemi (alkier zawiera 24,200 metrów kwadratowych), porosły prawie dziewiczym lasem, zadłżał na jego widok z radości i strachu. Cieszył się, że on, niedawny nędzarz, jest teraz właścicielem i czuł dreszcz strachu na widok tysiącletnich olbrzymów puszczy. — Jak się do nich zabrać, jak je powalić! Wszystkie one stoją butnie, pospłatawszy się konarami, a gibkie lłany, jak potężne liny, wiążą po kilka drzew w jedną zieloną masę. Ale trzeba się było wziąć do pracy, by coś zasadzić, by mieć, bo rok przeleci i rząd przestanie dawać zapomogi.

Chłop przeżegnał się, podrapał w głowę, znowu przeżegnał, splunął w garść, stęknął i uderzył. Siekiera wbija się w pień, ale olbrzym ani drgnął, — Chłop rąbał i rąbał, pot lał mu się z czoła, aż nakoniec wieloletni olbrzym zachwiał się, zatrzeszczał i pochyliwszy, wsparł na sąsiadach. — Jak go pozbawić opory, jak powalić na ziemię? Biedny kolonista i drapał się na niego, by mu podciąć gałęzie i obrąbywał lłany i ciął podszybie, aż po wielu trudach zwałił olbrzyma. Westchnął z ulgi i... troski, że trzeba się brać do drugiego. I tak ciął i ciął, rąbał i rąbał tygodnie całe, a później palił i pomiędzy opalonemi kłodami drzew sadił, a gdy chleb rósł, ciął dalej, stawiał chatę, grodził płot, Zboże wyrosło i dało plon, plon obfity. Na rok następny zrąbał i zasadził więcej. Przybywało mu czystego pola, przybywało chudoby, pieniędzy, pewności siebie i gdy przeszło z górą lat dziesiątek, dawnemu parobkowi i wyrobnikowi wydawało się mało cztery alkry ziemi. Zapraagnął mieć więcej. Wszak tuż za kolonią ciągną się nieprzejrzone obszary stepów i lasów. Ale jak tu się ruszyć z pośród swoich, jak iść pomiędzy Brazylian?

Znalazł się śmiałek i ruszył, za nim poszli inni i obecnie w przeciągu lat piętnastu, trzy czwarte ziemi w parafii Araucaria z wolnej ręki wykupili Polacy, a teraz przechodzą w sąsiednie municypium Lapa i jak lawa suną naprzód. Już nie boją się lasów. Owszem rwą się do nich, bo widzą, że im gdzie



Małpa-golarz.

teższy las, tam ziemia lepsza. Do rąbania zabierają się z całą swobodą. Wiedzą, od którego drzewa zacząć, by się nie zatrzymało o inne, który pień podciąć, by porwał lżany i padł na ziemię.

Lubię patrzeć na wychowanych lub tu w Paranie wyrosłych kolonistów! Gdy sobie przypominam dawnych mych parafian z Zamojskiego i Biłgorajskiego, gdy ich porównywał z Araucaryjskimi, jakaż wielka różnica! Tamten, to zgnębiony, zbity, obawiający się

wszystkiego niewolnik, a ten — pewny siebie pracownik, znający swą moc i wartość osadnik. Małomówny, stateczny, bezpański, o charakterze tak silnym, jak kanele lasów parańskich, a tak szerokim, jak przestrzenie naszych stepów. Nawet w kościele modlą się inaczej, niż europejscy rodacy.

I harde to dusze siedzą w nowym pokoleniu! Wychowane na swobodzie, przyzwyczajone do walki i zwycięstwa z lasem, nie uznają żadnej władzy i wszystko chcą brać siłą.

W niedziele i święta wraz z nauczycielem prowadziłem pogadanki i szkołę. Wyrůstki i dorośli zjeżdżali się i schodzili chętnie, i przyznać muszę, że uczyli się doskonale.

Pewnego razu przychodzi do mnie ojciec jednego z młodzieńców i powiada:

— A jednak tu, proszę księdza, źle w Paranie.

— Dlaczego?! Dorobiliście się, macie dużo ziemi, bydła, pieniędzy...

— Tak, ale źle, bo tu takiego posłuchu jak w Polsce niema.

— Cóż takiego się stało?

— A ot, chociażby i mój Jasiek. Chodzi do szkoły, ksiądz go uczy, a jakem go się zapytał, czy z raz dostał od jegomości za uszy, to mi powiedział: ksiądz ta nikogo nie bije, ale niech noby ino spróbował uderzyć, toby mię już więcej w szkole nie zobaczył.

Krnąbrne i ambitne Jaśki wyrastają u nas w Paranie! Nie lubią żartować, ani się cofać od raz powziętego zamiaru. Gdy sobie upatrzy jaką Maryś, przyjdzie pokłonić się ojcom, a w razie odmowy bryzgnie: — Jak mi jej nie dacie, to ją sam wezmę. — A i Maryś też potrafi odpowiedzieć: — Jak mi nie pozwolicie iść za Jaśka, to na wiarę z nim siedzieć będę.

Starzy westchną na brak polskiego posłuchu w Paranie i czynią wolę młodych.

Takie to nowe pokolenie z nowych osadników wyrasta. Odebrało ono moc i dumę lasom, rozmach stepom i w siebie je wchłonęło. Już im nawet krzywdą się wydaje iść ławą i zajmować nowe ziemie. Co dla nich dzie sięć, piętnaście lub nawet sto alkrów. Im się już marzy, by iść daleko, daleko na zachód i zajmować kilometrowe obszary. I chciałoby się stanąć na czele takich zuchów kolonistów i zająć puszcze i stepy parańskie, dać im kulturę i swojskość. Ale, gdy się rzuci okiem na obszary naszej nowej siedziby i na małą garść towarzyszy, ból ściska serce.

Nasze usposobienie wpływa na względną wartość wszystkich darów Iosu.

* * *

Starzy lubią dawać młodym nauki, by się pocieszać tem, że nie mogą dawać złych przykładów.

Ze śmierci do życia.

(Życie pod śniegiem. — Przerwa wiekowa w wegetacji. — Kielkujące nasiona z czasów rzymskich. — Zamarznęte ryby i motyle. — Wymoczki wracające do życia. — Odporność bakcyliów)

Gdy w czasie srogiej zimy pola pokryte są grubą warstwą śniegu, gdy nawet wartkie strumienie staną w okowach lodowych, wtedy powiadamy, że przyroda obumarła. Mówimy tak chociaż nam wiadomo, że powłoka śnieżna nie jest całunem śmiertelnym, ale ochronnym pokrowcem, pod którym życie nie tylko nie ustaje, ale nawet nie spoczywa, gdyż równie w zamkniętych pączkach roślinnych, jak w nieruchomych poczwarkach, jak wreszcie w zwierzętach, popadłych w sen zimowy, odbywają się ciągle zmiany. Siły żywotne działają bez przerwy, a przemiana materii nie ustaje, tylko jest powolniejsza. W przeciwnym razie następuje śmierć i zgasłego życia nie można już powrócić. To jest regułą, ale nie ma reguły bez wyjątków, zdarzają się bowiem wypadki, że życie, uważane za zgasłe, jednak może być ponownie przywrócone. Wykażemy to na zajmujących przykładach zarówno ze świata fauny jak flory.

Należy tutaj zaznaczyć, że taksamo pośród zwierząt, jak pośród roślin powstaje czasem stan, który przez fizjologa Peyera został nazwany anabiotycznym, czyli zdolnym do odzyskania. Stan anabiotyczny nie jest u roślin rzadkością, wiemy bowiem, że niektóre nasiona mogą bardzo długo leżeć, nie tracąc siły kiełkowania. Groch po upływie 50 a nawet 100 lat zachowuje zdolność kiełkowania, a są przykłady jeszcze większej odporności.

Około 1830 r. odkopano w Francji trumny kamienne z czasów rzymskich. Pochodziły one z trzeciego i czwartego wieku po Chrystusie. Głowy zwłok spoczywały na grubej warstwie rozmaitych nasion. Zasiano je w doniczkach i oto wyrosły rośliny, które zakwitły i miały owoce. Nasiona te spoczywały przez 1.500 lat i nie straciły siły kiełkowania. Natomiast pszenica, znaleziona w grobach egipskich przy mumiach i wyglądająca jakby zwęglona, już nie kiełkowała.

Wobec tego nadzwyczajnie długiego spoczynku wegetacyjnego ziarn i nasion, przypuścićby należało, że zachowała się w nich pewna wilgoć, która jeszcze wystarczyła do utrzymania życia. To przypuszczenie odpa-



ŁABĘDZIE.

dnie, gdy spojrzymy na anabiozę, to jest odżywianie w świecie zwierzęcym. Widzimy tutaj, że nie tylko embryony, to jest zarodki, ale nawet zupełnie wykształcone zwierzęta mogą popaść w stan niejako śmierci, a potem odżyć. Nawet wyższe organizmy, jak n. p. kręgowce, mogą się stać anabiotycznymi, co wykazały najnowsze doświadczenia.

Pierwszym, który czynił spostrzeżenia nad anabiozą, był uczony holenderski Leuwenhoek, który nas zapoznał ze światem wymoczków. W r. 1701 znalazł ku swojemu zdziwieniu w pyle zupełnie wyschniętym, który osiadł w rynnie, wielką liczbę żyjątek poruszających się za pomocą kolistego wieńca rzęs. Gdy wyschnięty pył po upływie miesiąca został zwilżony, zaschnięte w nim wymoczki znowu odżyły. Podobne doświadczenia czyniono z innymi żyjątkami mikroskopowymi. I tak robaczki, powodujące zgorzelinę pszenicy, wracały do życia po upływie 27 lat, gdy zostały zwilżone. Doświadczenia te były przedsiębrane bardzo często. Nie

można przypuścić, aby po tak długim czasie w żyjątkach owych pozostać mogła choćby odrobina wilgoci, a zresztą zwierzątka te, trzymane dłuższy czas w naczyniu, z którego wypompowano powietrze, utraciwszy więc bezwarunkowo resztę możliwej wilgoci, przychodziły potem znowu do życia. Mamy tu więc do czynienia z rzeczywistym ustaniem wszelkich funkcji życiowych, a mimo to nie ze śmiercią.

Prócz wyschnięcia może być także inna przyczyna pozornej śmierci, a mianowicie zamrożenie. Nie trzeba dowodzić, że żyjące istoty po całkowitem zamrożeniu nie są zdolne do żadnej funkcji życiowej. Wszystkie ich soki stały się lodem, krew stężała, w organizmie nie ma śladu życia. Uczony francuski, profesor Pictet czynił spostrzeżenia nad działaniem bardzo niskiej temperatury na żyjące istoty i doszedł do zajmujących wyników.

Profesor Pictet umieszczał zupełnie zdrowe i normalne żyjątka w naczyniu, otoczonem

chłodzącymi mieszaninami i utrzymywał stale temperaturę 200 stopni poniżej Celsusza poniżej zera. Straszliwy wprost mróz. Analogicznie do faktu, że zwierzęta ciepłokrwiste mogą bez szkody dla zdrowia wytrzymać przez dłuższy czas wysoką temperaturę, ale w powietrzu suchem — równie bardzo niską temperaturę znoszą zwierzęta, jeżeli jest sucha. Dlatego przy doświadczeniach Picteta trzeba uważać, ażeby żyjątka nie zetknęły się ze ścianą naczynia, albo z mieszaniną chłodzącą, gdyż w takim razie powstają rany, trudne do zagojenia. Zwierzęta, żyjące na powietrzu, poddawano działaniu suchego zimna, zaś zwierzęta wodne zamrażane w lodzie, doprowadzonym do temperatury nadzwyczajnie niskiej. Bakteryje, tudzież inne drobnoustroje umieszczano nawet wprost w płynnym powietrzu o temperaturze 200 stopni C. poniżej zera.

Wymoczki poddawano przez dłuższy przeciąg czasu temperaturze 60 stopni poniżej zera, owady temperaturze 27 stopni. Oczywiście zamrzły w takiej temperaturze, ale po odtajeniu przychodziły do życia. Węże znosiły temperaturę 25 stopni poniżej zera, żaby 18 stopni. Ryby z wody słodkiej, zamrożone w bloku lodowym, odzyskują życie po odtajaniu. Temperatura lodu wynosiła 15 stopni poniżej zera. Gdy w płytkich stawach i sadzawkach, nie mających wody ze źródła, zamarźnie woda aż do dna, wszystkie owady i ryby zamarzają w bloku lodowym. Gdy nastąpi odwilż, pływają wszystkie wesoło, nie poniosłszy szwanku na zdrowiu. Tylko chudość i wyblakłe zabarwienie świadczą o przerwie w życiu.

W doświadczeniach Picteta ślimaki w swoich skorupach znosiły przez cały dzień temperaturę 110 do 120 stopni poniżej zera, ale tylko wtedy, gdy skorupa była całkiem nieuszkodzona. Gdy skorupa była pęknięta, ślimaki rychło ginęły. Jajka ptasie są bardzo wrażliwe na zimno i już przy 2 stopniach poniżej zera tracą zdolność wylęgania, natomiast jaja owadów mogą bez szkody przez dłuższy czas być pod działaniem — 40 stopni Celsusza. Pasorzyty, znajdujące się w niektórych jajach, zginęły. Mikroby i bakcyle żyły po przebyciu temperatury 213 stopni poniżej zera.

Czy można tutaj mówić tylko o chwilowym spoczynku życia, gdy istota żyjąca zamarźnie całkowicie? Tutaj wygasa wszel-

kie życie — a jednak powraca po odtajaniu organizmu. Ponieważ stwierdzono, że przy 100 stopniach poniżej zera ustają wszelkie procesy chemiczne, więc tem bardziej ustają w organizmach, poddanych temperaturze jeszcze niższej. Wynika z tego, że owe organizmy były martwe. Tak atoli nie jest, gdyż śmierć jest nieodwołalną. — Można tylko powiedzieć, że niektóre twory żyjące mogą znajdować się w stanie, który nie jest ani śmiercią, ani życiem, a który pozostał dotąd tajemnicą, nierozjaśnioną przez naukę.



Asekuracja przeciw uprowadzeniu.

Kiedy w jesieni ubiegłego roku — po kilkoletnim pożyciu małżeńskim — urodził się wielokrotnemu miliarderoi Maclean'owi w Waszyngtonie — pierworodny syn i dziedzic majątku, radość rodziców nie miała granic. Do nowego obywatela sprowadzono cały zastęp najrozmaitszego rodzaju służby, utworzono dlań specjalnie dwór cały pod zwierzchnictwem marszałka, robiono wogóle wszystko, co tylko przesadzona i nielicząca się z groszem troskliwość rodzicielska, wymyślić może.

Tymczasem w dniach ostatnich otrzymał Mr. Edward Maclean listy z pogrozkami, pochodzące prawdopodobnie od „czarnej ręki“, iż o ile nie opłaci się sownie, dotknie go cios w najczulszą stronę!

„Czarna ręka“, silnie zorganizowane tajne stowarzyszenie opryszków w Ameryce, trudni się najrozmaitszego rodzaju szantażem, zbrodniami, a przede wszystkim wykradaniem osób, które następnie za znacznym okupem zwraca. Policja jest wobec tego tysiąca członków liczącego stowarzyszenia, wprost bezsilna, a nawet — jak twierdzi opinia publiczna — wielu urzędników policji jest na żołdzie „czarnej ręki“:

Przestraszony miliardier, wiedząc, iż zamach skierowany byłby przeciwko dziecku, postanowił uczynić wszystko, aby przeszkodzić porwanu.

Pałac wraz z ogrodami zamieniono w twierdzę, strzeżoną przez dziesiątki tajnych agentów detektywów. Służbie — po królewsku zresztą opłacanej — zakazano wogóle wychodzić do miasta i pod karą natychmiastowej dymisji, utrzymywać z kimkolwiek z miasta — nawet z najbliższą rodziną — stosunki, chociażby listowne.

Straż w pokoju sypialnym dziecka — oprócz kilku nianek, służących i ochmistrzyni — pełni dzień i noc bez przerwy dwóch uzbrojonych od stóp do głów agentów. W końcu cały system telefonów, hasel i dzwonek bezpieczeństwa uniemożliwia wprost niepowołanym dostanie się do dziecka, a nawet wogóle do pałacu.

Obecnie, wobec zbliżającej się wiosny, kiedy dziecko trzeba będzie wywozić na powietrze, uznał Mr. Maclean, iż przedsięwzięte przezeń środki bezpieczeństwa nie wystarczają zupełnie. Wobec tego ogłosił, iż chce się ubezpieczyć od uprowadzenia dziecka. W kilka dni później zgłosiło się doń jedno z Towarzystw ubezpieczeń w Nowym Yorku, ofiarując się z propozycją ubezpieczenia od uprowadzenia dziecka. Jako premię żądało Towarzystwo kwoty 1,500,000 mk. z opłatą 20 proc. rocznie. Mr. Maclean przyjął warunki Towarzystwa asekuracyjnego bez wahania.

Wobec tego Towarzystwo przyjęło premię i na własne kosztą przydzieliło trzech agentów do pilnowania pałacu miliardera, który obecnie uspokojony już w pewnej mierze, nie żywi obaw o przyszłe losy swego dziedzica.

PEDAGOG.

(Scenka z życia).

Czteroletni Jasio: Chcę młotka!

Matka: Nie, Jasiu, młotkiem nie wolno się bawić.

Ojciec (profesor): Ależ, kochana żono, to nie jest odpowiednia metoda wychowania. Zamiast...

Jasio: Chcę młotka.

Ojciec: Zamiast szorstko odmawiać życzeniu dziecka, powinnaś go łagodnymi perswazyami od tego odwieść. Nie należy nigdy...

Jasio: Chcę młotka!

Ojciec: Nie należy nigdy brutalną odmową obudzać w młodej duszy ducha sprzeczności. Dobrocią i...

Jasio: Chcę młotka!

Ojciec: Dobrocią i miłością można łatwo zwrócić jego myśli na inny przedmiot.

Jasio: Chcę młotka!

Ojciec: Chodź do mnie, synku. Widzisz ten piękny obrazek...

Jasio: Chcę młotka!

Ojciec: Zostań przy mnie. Narysuję ci konia i słonia z dużą, dużą trąbą.

Jasio: Chcę młotka!

Matka: Nie wydaje mi się, aby twoja metoda...

Ojciec: Żadna metoda nie może od razu działać. Zresztą nie zapominaj, że ty...

Jasio: Chcę młotka!

Ojciec: ...że ty, spełniając dotąd wszystkie jego kaprysy, dziecko...

Matka: Tego już za wiele. Proszę cię, ja nigdy...

Jasio: Chcę młotka!

Ojciec: Czy moje kochane dziecko nie wie, że może młotkiem uderzyć się po swoich malutkich paluszkach i złamać...

Jasio: Chcę młotka!

Ojciec: Widzisz, Jasiu, młotkiem możesz zbić zwierciadło na malutkie kawałki i potem nie widziałbyś już w nim siebie. Grzeczne dzieci...

Jasio: Chcę młotka!

Ojciec: Grzeczne dzie...

Jasio: Chcę młotka!

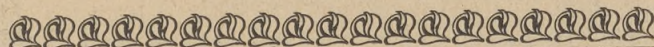
Ojciec (wpada w gniew, wywraca Jasia na kolano i wymierza mu kilka silnych klapsów): Teraz będziesz miał dobrą naukę.

Jasio: Hu... chcę... hu... młotka!

Ojciec: Żono, zabierz sobie bębna i zanies go do łóżka.

Jasio: Hu... chcę młotka!

Ojciec: Do diabła, jeszcze nie jesteś cicho? Masz tu ten przeklęty młotek i zamknij nareszcie dziób!



Zdania i myśli.

Przyjemności nasze zmalałyby niesłychanie, gdybyśmy sobie nieustannie nie pochlebiali.

* * *

Rozumni byliby często w kłopotcie, bez towarzystwa głupców.

* * *

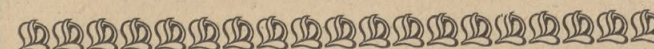
Jak rzeki w morzu, tak wszystkie cnoty zbierają się u źródeł interesu.

* * *

Gdyby ludzie nie okpiwali się wzajemnie, nie wytrzymałyby zbyt długo w społecznym pożyciu.

* * *

Cześć winna być dla każdego uspołecznionego człowieka droższą nad mienie, nad życie.



Obrazki ze świata.



Mulaj Hafid, sultan marokański.

Wulkanik marokański, powiedzmy lepiej Wulkan, polityczny Wulkan, właściwie nie wygasa nigdy. Wciąż kłębi się w nim i burzy, a mocarstwa, które w jego pobliżu posiadają swoje kolonie, żyją w ciągłym strachu, by z Wulkanu tego nie wylała się lawa ognista, która zniszczy wszystko, co znajdzie na swej drodze.

Obecnie znowu od dłuższego już czasu rozszalała się nad Marokiem nowa burza. Sroży się ona głównie przeciw sułtanowi Mulaj Hafidowi, któremu cały szereg szczerpów, z zazdrośnym okiem na tron sułtański patrzącymi przywódcami na czele, wypowiedział posłuszeństwo. W kraju rozszalała taka burza, że oddziało to ujemnie na komunikację. Stąd brak dotąd pewnych wiadomości o faktach, które działy się w Maroku przed kilkunastu dniami. Nadeszły wieści, że stolicę kraju, Fez, ogarnąć miało zarzewie buntu, że zbuntowani oblegać mają Fez, że nawet w mieście samem zbuntowana ludność broń podniosła przeciw Mulaj Hafidowi. Wiadomość ta przejęła przedewszystkiem trwogą rząd francuski, szczególnie zainteresowany w Ma-

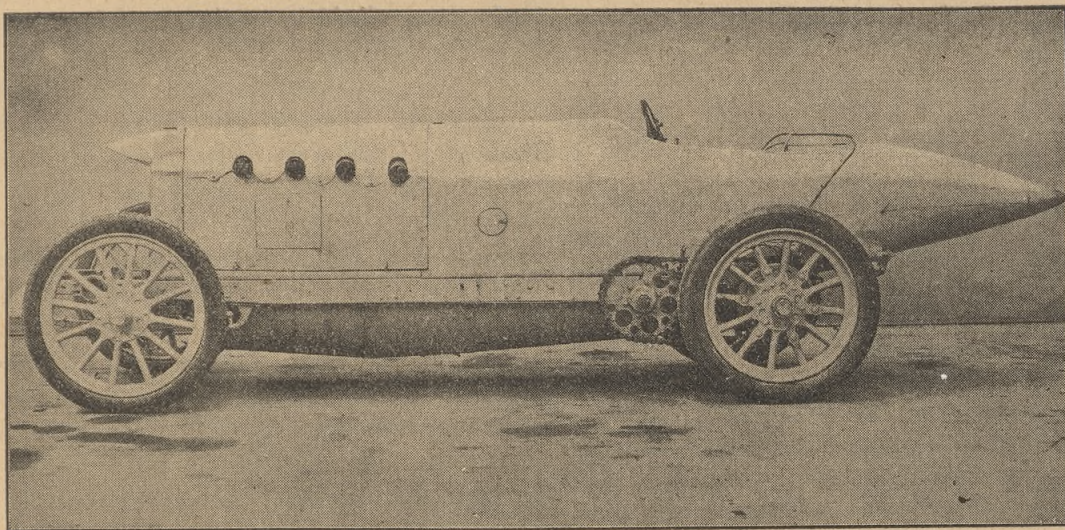
roku, a niemniej Hiszpanię oraz dyplomatów innych krajów. Wszystkim tym czynnikom zależy bardzo na tym, by utrzymać Mulaj Hafida na tronie, a przedewszystkiem, by nie stało się nic złego Europejczykom osiadłym na terenie objętym rewolucją. Z Francji wysłano nawet specjalną ekspedycję do Fezu pod dowództwem kapitana *Brémonda*. Dotarli on już do Fezu choć ze znacznymi stratami i prowadzi wojnę podjazdową ze zbuntowanymi szczepami w obronie tronu sułtańskiego.

Dziś jeszcze przewidzieć się nie da jakim skutkiem uwieńczone zostaną starania Francji, na które — samo się przez się rozumie — Niemcy patrzą okiem bardzo zazdrośnym, obawiając się, by Francya nie zabrała Maroka pod swe wyłączne panowanie.

Wielkie miasta amerykańskie słyną ze swych „drapaczy nieba“, czyli kamienic, liczących po



Nowy ratusz nowojorski.



Najszybszy pojazd na świecie.

kilkadzieściąt pięter. Tymczasem wszystkie dotychczasowe olbrzymy amerykańskie ustąpić muszą wobec nowego ratusza, jaki obecnie wystawić sobie zamierza Nowy Jork.

Dotychczas wszystkie wydziały administracyjne nie mogły pomieścić się w jednym gmachu, lecz na pomieszczenie ich trzeba było całego szeregu budynków, których dzierżawa pożerała olbrzymie sumy. I ten wzgląd właśnie spowodował praktycznych Amerykanów do wykonania tak olbrzymiej budowli, której widok przedstawia nasz obrazek. Wszystkie wydziały administracyjne mają w nim znaleźć pomieszczenie. Koszty budowy obliczono na 50 milionów marek, lecz procenty będą wynosić mniej jeszcze, niż dotychczasowy czynsz dzierżawy za biura, porozrzucane po całym mieście. Ratusz zajmie dwie całe dzielnice miej-

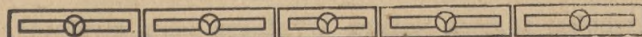
skie, a w środku pod nim prowadzić będzie szeroka ulica. Liczyć on będzie 40 pięter o ogólnej wysokości 580 stóp; obszar, na którym on stanie, obejmuje 1 250 000 stóp kwadratowych. Do budowy zużyje się 25 000 ton stali; wewnątrz kursować będą pomiędzy poszczególnymi piętrami 32 windy. Trzy piętra znajdować się będą pod ziemią, a w nich umieszczona będzie stacja kolei podziemnych, które się w tym punkcie będą krzyżowały.

Amerykanin Bob Murman zdobył niedawno na samochodzie Benza o sile 200 koni sensacyjny rekord światowy w szybkości. W 25,40 sekundach przebył on milę angielską (1609 m.), innymi słowy osiągnął on bajeczną szybkość 228,094 klm. na godzinę. Najszybsze pociągi jadą tylko z szybkością 90 do 100 klm. na godzinę. Szybkość samochodu Boba Murmana jest zatem największą, jaką dotychczas osiągnął jakikolwiek pojazd na świecie.



Dziwne zjawisko natury.

Walka w naturze przybiera czasami formy najdziwniejsze. Ciekawy obrazek walki dwóch istot żywych przedstawia nasz obrazek. Pstrąg, który jest zwierzęciem bardzo żarłocznym, połknął żmiję pierścieniową. Nie mógł jej jednak strawić, tak, iż żmija jednym swym końcem wydobyła się kanałem odchodowym ryby na wolność. Mimo to pstrąg puścić jej nie chciał, trzymając ją zębami. Gdy oba zwierzątka szamotały się, zdołano je chwycić żywe.



Kącik grafologiczny.

(Za nadesłaniem 1 marki 20 fenygów albo 1 kor. 50 hal. gotówką lub też w znaczkach pocztowych, podajemy oceny grafologiczne, jak niżej.)

„Brzydka brunetka“. Trudna odpowiedź na pytanie, czy brunetka stała się gorszą lub lepszą, nie znając jej poprzednio. Br. tytułuje się brzydką, lecz chyba nie pod względem charakteru, tego nie możemy się z pisma dopatrzyć, przeciwnie, brun. jest sympatyczną, bardzo żywą, lecz brak jej spokoju, nerwy jej są drażliwe i wrażliwe bardzo, stąd pochodzą wszystkie jej wady i usterki. Br. ma szeroki zakres myśli, wyobraźnię nader żywą, trudno jej uwagę czas dłuższy na jeden przedmiot skoncentrować, — takiemu roztargnieniu łatwo jednakże zaradzić, trzeba tylko chcieć. Umysł brunetki z łatwością przyswaja sobie idee innych. Brun. ma dużo samodzielności, chęci czynu, lecz przydałoby się więcej akurtności. Pisząca jest impulsywną, działa szybko, idąc częściej za głosem serca, niż rozsądku, chociaż ma go dość dużo. Pisząca nie lubi zanadto liczyć się z pieniędzmi, woli dawać, niż brać. Nie lubi również zajmować się drobnostkami, żywy jej, czynny umysł pragnie ciągłej podnieci, strawy duchowej. Jest to rzeczą chwalebna, byleby na tem nie cierpiało dokładne wypełnianie obowiązków. Brun. jest sympatyczną, lecz powinna wyrobić w sobie więcej spokoju a cała jej istota zyska na tem znacznie.

„Szczęśna ze wsi“. Cóż za zapas sił i energii! Pismo wykazuje tyle werwy młodzieńczej, iż mamy ochotę posądzić jakiego chłopca o figiel, że podszyl się pod piękne imię Szczęśnej. Jest to pismo nader charakterystyczne. Ogólne wrażenie, jakie odnosimy to to: widzimy w nim wiernie odbite ruchy dziecka, które się broni wszelkimi siłami przed natarczowymi pieściami i całusami jakiegoś starego natręta. Tem dzieckiem to Szczęśna, a natrętem to Amor, Eros, który gwałtem dopomina się o swe prawa, usidla myśli Szczęśnej. Ona walczy z nim — przy jej wielkim zasobie energii, starannem wychowaniu i jak na wiek młody, rozsądku, wyjdzie na pewno z tej walki zwycięsko. Zresztą jest to stadium przejściowe — małżeństwo kładzie mu zwykle kres. Szczęśna chciałaby się podobać, kochaną być — w tem nie ma nic dziwnego, jest to u osób młodych, zdrowych rzeczą zupełnie naturalną. Lecz to roślina, którą przesadzono w grunt nieodpowiedni. Jej głęboka, zdrowa natura wyklucza lekkomyślność,

gdy tam miłość korzenie zapuści, przetrwa wszelkie burze.

Lecz ma temperament sangwiniczny, naturę bujną, nie znoszącą połowiczności. W usposobieniu swem ma dużo cech męskich, przedewszystkiem samodzielność.

Co do inteligencji — myśl jej nie da się zamknąć ciasnym obrębem zajęć domowych, lecz pragnie dużo strawy duchowej. Jest to umysł bystry i praktyczny, o żywej wyobraźni, lecz trzymany w karchach silną wolą. Lecz jest pozytywistką, ma dużo szlachetnej dumy, poczucia obowiązku, lecz brak jej owej słodczy, owego współczującego serca, wyrażając się obrazowo owej pieśzcotliwej miękkiej dłoni, co potrafi łagodzić, koić ból i niedolę, brak jej *kobiecości*.

„Kalina“. Pismo bardzo pewne, oryginalne wykazuje dość wysoki stopień kultury umysłowej, lecz nie możemy nazwać go harmonijnem, brak w niem równowagi, spokoju. Pisząca pozostaje pod przymusem, nie działa swobodnie, — przybiera zimną, obojętną pozę, a w jej sercu burze szaleją. Kalina toczy walkę między głową, tj. rozumem a popędem serca — głosem natury.

Kalina obdarzona jest umysłem żywym, czynnym, jasnym, posiada zdolność wnioskowania, łączenia pojęć, — a więc zdolność do nauk ścisłych. Lecz nie jest i bez talentu do sztuk pięknych, prawdopodobnie rysunków, gdyż ma oko i rękę pewną, zmysł symetrii i formowania. W piśmie Kaliny podpada ogromny zapas *energii, siły* — jest to więc natura bujna, ognista, pełna życia i chęci czynu — powinna mieć bardzo szeroki zakres działania.

Jak na kobietę, posiada K. za mało słodczy charakteru, łagodności, uległości, — tak obcesowo nie trzeba brać życia — głową nikt muru nie przebije, a powolnem, lecz stałem działaniem można więcej osiągnąć, niż gwałtownem.

Pyta się Kalina, dokąd ma skierować pracę. Trudno na to odpowiedzieć, nie znając stosunków rodzinnych. Najszczytniejszem powołaniem kobiety było, jest i będzie stworzyć rodzinę, ognisko domowe, uszczęśliwić męża. Do tego tęskni każda młoda panna, jest to rzeczą zupełnie naturalną, każda chce być kochaną. Lecz do tego powołania trzeba się także przygotować — trzeba umieć pracować i umieć — rozsądnie kochać. Pracy szukać nie potrzeba — ona nadarza się zawsze i wszędzie, na każdym kroku, trzeba tylko mieć oczy otwarte i nie trzeba być zbyt wybrednym w jej wyborze. Każda praca uszlachetnia, daje zadowolenie, korzyść materyalną mniejszą lub

większą — ale żadna praca, zawodowa szczególnie, nie jest bez cierni. Jeśli Kal. żyje na wsi, gospodarstwo wiejskie, ogród, praca nad podniesieniem oświaty ludu, cóż za piękne pole działania! — Ogrodnictwo, jako zawód, jest bardzo korzystne i przyjemne. O ile wiemy, pod Poznaniem, w Wierzenicy, pani Karłowska założyła zakład ogrodniczy dla panien wyższych stanów. O tem poinformuje Redakcja „Gł. W.” lepiej, niż my. Kalina tak nas zainteresowała, że prosimy porozumieć się z nami osobiście, służymy wskazówkami co do wyboru zawodu, jeśli Kalina sobie tego życzy.

Kalendarzyk historyczny od 14 do 20 maja.

14. August Czartoryski z pomocą Moskali bije wojsko polskie w r. 1764.
15. Bitwa Konfederatów Barskich pod Berdyczowem 1768 r.
16. Konfederacja targowicka 1792 r.
17. Henryk Walezy obrany królem 1573 r. — Romuald Traugut walczy zwycięsko przeciw wojskom moskiewskim w bitwie pod Horokami 1863 r.
18. Bitwa pod Sandomierzem 1809 r.
19. Gwardye rosyjskie wypuszczone cało z pod Śniadowa 1831 r.
20. Śmierć Władysława IV 1648 r.

Nadesłane.

Prawdziwe koronki.

Basch & Krisch, Poznań.

Prawdziwymi koronkami nazywają dziś w wszystkich dziedzinach koronki te, które wyrabia się ręcznie, i to przede wszystkim w przeciwieństwie do koronek maszynowych w wszelkich rodzajach, które wszędzie nabyć można. Od długiego czasu zaniedbane koronki prawdziwe, są obecnie bardzo modne. Koronki szyte (tasiemkowe) i klockowe, noszą nazwę koronek prawdziwych. Przede wszystkim zaznaczyć wypada, że te przeważnie z Brukseli pochodzące koronki tasiemkowe „Point lace”, które jako prawdziwe koronki brukselskie bywają polecane i niestety od publiczności, nieznaającej się na koronkach prawdziwych, za drogie pieniądze nabywane, są jedynie prawdziwe co do pochodzenia, nie zaś do koronki samej. Od 350 lat dostarcza przemysł niemiecki koronki, i chociaż moda przez przeciąg setek lat się zmieniała, jednakowoż koronki prawdziwe pozostały w ogólności pożądanymi. Przede wszystkim przez zastosowanie artyzmu w modzie powstały w ostatnich

dziesiątkach lat piękniejsze i efektowniejsze wyroby koronkowe. Piękność tych starych koronek, które przeważnie z tasiemeczek powstały, przechowano młodszemu pokoleniu. Ogromny zachwyt wzbudzają u zwiedzających muzea, przede wszystkim włoskie, owe cudowne koronki i wstawki, które znajdują się przy starych i już na pół spróchniałych szatach kościelnych. Prawdziwy artyzm przemawia z tych starych koronek. Najstarszą koronką jest nosząca nazwę „Recitelli”, koronka klockowa, bardzo pojedyncza, pochodząca z Włoch.

Z Włoch, rodzinnego kraju koronek, przeniósł się artyzm ten przez Francję do Belgii, Anglii, Niemiec i t. d. W Austrii, sąsiadującej z Włochami, również oddano się tej pracy artystycznej, jednakowoż nie w tej mierze, jak w innych krajach, ponieważ tam do dziś dnia wypracowują desena podobne do koronek z dawno minionych czasów. W Włoszech i Belgii wyrabiają w ogóle najpiękniejsze koronki, tak samo pochodzące z śląskich szkół prawdziwych koronek. Tylko te koronki przedstawiają największą wartość. Zresztą też tylko z tej pracy można najsztudniej, po części medalionami przybrane desena koronkowe wykonać. Wachlarze i chusteczki, również obsady do sukien w tymże wykonaniu, przedstawiają najdroższe prace koronkowe na całym świecie. Już od dawnych czasów są właśnie prawdziwe koronki najpiękniejszym i najwięcej pożądanym klejnotem dla kobiety. Wprost bajecznej wysokości są sumy, które wydawano za prawdziwe koronki. Wartość koronek nie można bynajmniej porównać z wagą złota, gdyż jest bardzo możliwym za milion marek koronek wygodnie umieścić w paczce pocztowej.

Prawdziwa koronka przeżyła z biegiem czasów dobre i mniej korzystne periody. Niektórym władcom pewnych państw należy dziękować, że się koronką interesowali i nakłonili dwór i arystokrację do noszenia prawdziwych koronek. Materiał potrzebny do wyrabiania koronki wynosi najmniejszą część ogólnej ceny za koronkę prawdziwą. Wysoką cenę powoduje ogromnie mozolna praca. Jeżeli się zważy niską płacę, jaką otrzymuje pilna robotnica koronek, można zrozumieć, do jakiej ceny dochodzą koronki pochodzące z śląskich szkół koronek. Podobnie jak z koronkami szytymi dzieje się również z trudniami do wykonania koronkami klockowymi. Płaca za nie jest przeciętnie jeszcze niższą, a wymagania którym robotnice zadośćuczynić muszą, nie pozostawiają nic do życzenia. Koronka klockowa zajmuje z powodu swych zalet pierwsze miejsce, bo umożliwia i mniej zamożnym tego rodzaju

koronkę nabyć, w przeciwieństwie do koronek prawdziwych na które sobie tylko śmietanka arystokracji pozwolić może.

W ostatnim czasie cieszy się właśnie koronka klockowa ogromną popularnością. Jest to przede wszystkim zasługą szkół i przemysłu, wydobywając jak największy efekt we wykonaniu. Dziś już stały się koronki klockowe niezbędnymi do do wszelkiego rodzaju robótek i bielizny. Artyzm wykonywania koronek jest ludowi zachowanym. O dobre i wyszkolone nauczycielki w tym zawodzie stara się przede wszystkim państwo saksońskie. W Saksonii utrzymują gminy przeszło 40 szkół dla wyrobów klockowych a państwo udziela tymże zapomogi. Pierwszorzędną król. saksońską szkołą wyrobów klockowych utrzymuje rząd. Na wszystkich wystawach uzyskała wspomniana szkoła najwyższe nagrody, i życzyć by wypadało, by przez dalsze zabiegi lud zaznajomić tą pracą, ubogim robotnikom zapewnić byt, a szerokiej publiczności zrozumienie dla prawdziwych ręcznie wyrabianych koronek.

Lamigłówka do nagrody

Arytmogryf.

- | | |
|----------------|------------------------------------|
| 1 3 4 3 7 | Mała rzeka w górach. |
| 2 5 7 10 4 6 7 | Miasto w państwie rosyjskiem. |
| 3 1 3 5 4 3 | Miasto w Portugalii. |
| 4 8 5 3 7 | Gra w karty. |
| 5 8 1 3 5 4 | Inaczej sprawozdanie. |
| 6 8 5 11 8 | Zwierzę, na które u nas polują. |
| 7 8 4 8 5 | Choroba, powstająca z zaziębienia. |
| 8 5 8 5 8 4 | Góra w Azji. |
| 5 10 9 2 8 | Wyspa w morzu bałtyckim. |
| 9 5 8 11 8 4 8 | Pocisk wybuchowy. |
| 8 11 11 8 | Imię żeńskie. |

Cyfry zastąpić należy literami. — Litery początkowe, czytane z góry do dołu, dadzą imię i nazwisko wielkiego polskiego kaznodzieji, którego 300-letnią rocznicę śmierci obchodzić będziemy w roku przyszłym.

Dokładne rozwiązanie lamigłówki prosimy nadsyłać **tylko na pocztówkach** najpóźniej do 18. maja na ręce redakcji.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadesłały rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 21.

Rozwiązanie

lamigłówek zamieszczonych w nr. 17.

P	R	Y	M
A	M	A	L
N		O	C
T	A	R	O
A	M	A	T
D	A	N	T
E	L	E	W
U	M	I	Z
S	T	R	Z
Z			Z

= „PAN TADEUSZ“ MICKIEWICZ.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Albina Badura, Stanisław Bresiński, Tadeusz Frankowski, Danusia Doleżych, „Janek z Poznania“, Wikcia Kielpińska, Roman Knak, Konstancja Kolańczyk, Wanda Kulczyńska, Lila Kuleszówna, J. Nalaskowski, Stanisław Pietrzak, Marya Polska, Hanna Preibiszówna, „Powój z Przybysławia“, Helena Skorupska, Felicja i Stefania Szymańskie, Jan Wygralak.

Z Galicji:

pp. Konstanty Cag, Ludomił Fiałkiewicz, Henryk Królicki, Józef Poncza, Kazimierz Riedl (?), Mieczysław Szporek.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. W. Andersz z Steele (Nadrenia), Stefania Dużyńska z Nowych Wielcy (Łużyce), Irena Gryf-Marcinkowska z Berlina, Agnieszka Kunz z Herne (Westfalia), Wojciech Łukaszewski z Horstermark (Westfalia), Fr. Nowak z Herne (Westfalia), Bronisław Pietrzak z Berlina, St. Ratajczak z Steele, Karol Skworz z Herne.

Nagrodę otrzymają:

- 1) Danusia Doleżych z Mażanek (Fr. Zach),
- 2) Bronisława Pietrzak z Berlina,
- 3) Stanisław Bresiński z Poznania,
- 4) Józef Pończa z Bogumina (Śląsk austr.).

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej, przesyłali rozwiązania lamigłówek **tylko na pocztówkach**.

Od Administracji.

— Szanownych Czytelników prosimy, aby do listów, w których żądają nadesłania pojedynczych numerów do kompletów i t. p., dołączali należytość w znaczkach pocztowych, odpowiednio do podanej w nagłówku ceny za pojedyncze numery.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

JAN ANDRUSZEWSKI.

„Król“ „ciągu“ słońce.

Wieczorem kwietniowym — długą linią wśród asu, rozstawił się szereg myśliwych. Ten i ów ogląda się za suchem miejscem do wbicia ostro okutej laski myśliwskiej — tamten zdjawszy z pleców strzelbę, otwiera ją i wkłada naboje do luf — inni rozpatrują się ciekawie po kilkunastoletnim zapuszcie, odcinającym się różowawo-szarą falą od amarantowego tła nieba.

Właśnie za skraj jego stoczyło się słońce, wyjrzawszy na chwilę ogromną, purpurową kulą z pod niewielkiej czarno-złotej chmurki.

Pierwszy wietrzyk wiosenny dopiero pokropił — a teraz ciepło jest i spokojnie, tak spokojnie, że na dębach nie ruszy się ani jeden suchy, zeszłoroczny liść.

Raz po raz czarne, ciężkie żuki przelatują z hukiem w różnych kierunkach.

Po przez dziwnie smętne, ustawiczne ich huczenie — słyhać, jak mysz szeleści w zeschłym zielsku, jak wąż prześlizguje się po listowiu zwinem ciałem...

Pan Stanisław, przystojny, trzydziestoletni i szatyn o sympatycznych, inteligentnych rysach twarzy, słyshi doskonale z sąsiedniego stanowiska na prawo, dźwięczny, metaliczny chrzęst zamykanej „hamerlesówki“. To panna Lusia tam stoi! Tak! Smukła, gibka panna Lusia, w zgrabnych, sznurowanych bucikach, w krótkiej zielonawej spódniczce, w popielinowym futerku, z lasem kaszta-

nowatych włosów, wymykających się z pod szarozielonego, filcowego kapelusika z cietrzewiem piórkem.

Panna Lusia, różowa rumieńcami zdrowia na delikatnie rzeźbionej, arystokratycznej twarzyczce, oblanej w tej chwili odbłaskiem pozachodniej łuny słonecznej.

Jak inni myśliwi, wpatruje się ona w purpurowy przestwór, w odcinające się na nim szaroróżowe wierzchołki brzoź, grabów, osik, dębów.

„Trzy kwadranse na siódmą“ — mówi sobie w myśli — chowając mały zegarek w kieszonce futerka — trzy kwadranse na siódmą.. to już powinny ciągnąć... lada chwila powinny...

Wilgotna ziemia pachnie w lesie, powiewem drzew, z południa, oddechem budzących się do życia rozkwitłych już osik i iw — tchnieniem pierwszych kwiatów wiosennych, co łąchami całemi drobnymi, białych dzwoneczków pokryły ziemię tak gęsto, jak gdyby śnieg nie był jeszcze na niej stała. A w ostrą woń surowizny i zbutwiałych liści, w woń rzeźwą rodzącego się życia, raz po raz wpada cała orkiestra rozgwiszanych kosów i drozdów, zięb, makolągów, żółto brzusków, dzwońców. I czesnot paszkotów, kryjących się na noc po koronach starych sosen — i skrzeczenie srok odzywa się w tej orkiestrze — i piskliwe nawoływanie się całych stad kwiczołich — i za-

łosne beczenie bekasów, rozbujanych wysoko w mroczniejącym już przestworzu.

— Żeby się też to ptactwo trochę uciszyło — bo naprawdę trudno będzie usłyszeć słonekę w tym gwarze — przechodzi przez myśl Łusi. Ale swoją drogą nie tylko drobne, różowe uszka dziewczęcia — lecz i serce jej i dusza cała, chwytają z rozkoszą każdą nutę ptasiego koncertu, wchłaniają chciwie każdą melodię kosa, każdy gwizd drozda, każdy dźwięk zwrotki oddzwanianej przez makołagwę...

Tymczasem wszystkie te ptasie głosy nie tylko nie ustają — ale coraz silniej grają — coraz zacieklej, namiętniej zlewają się w przedwieczorną symfonię, pełną jakichś obietnic życiowych, jakiegoś tryumfального ich hymnu.

Las cały, każde drzewo, każda gałąska, każdy atom powietrza, zdają się tętnić tym hymnem wiosennego życia, dyszeć nim, zespalać się z dziwnie potężną mocą twórczą, co lada chwila zda się objawi, ziści, nieznane dotąd jeszcze światu tajemnice...

Napróżno wypatruje słonek Stanisław, napróżno usiłuje zwrócić choć na chwilę ku nim myśli, oderwać je od panny Łusi. Napróżno! Po płomiennem niebie zachodniem, przewija mu się zgrabny, smukły kształt dziewczyny — jaśnieje jej twarzyczka o wiele wyraźniej, niż może ją dojrzeć po przez gałęzie grabów i brzoź, przesłaniające mu sylwetkę sąsiadki.

Nie od dziś widuje on tę sylwetkę coraz częściej w myślach, coraz wyraźniej... O! Bo panna Łusia jest tą, którą nad wszystko inne umiłowało jego młodzieńcze serce. Nie oświadczył się jej jeszcze wprawdzie „oficyalnie“ — ale mimo to, oboje czują dobrze, czem są dla siebie.. Dla niego jest ta rasowa, arystokratyczna dziewczyna nie tylko najdoskonalszym wcieleniem fizycznego wdzięku, lecz i treścią wszystkich obietnic, jakie życie dać może zakochanemu mężczyźnie. Ot i w tej chwili myśli właśnie o tem, że niema chyba drugiej kobiety tak pięknej nie tylko po postaci, rysami twarzy — lecz tą dziwnie potężną królewskością uduchowienia, jakie Bóg daje wybranym swym dzieciom. O, tak! Nie od dziś poznał dobroć jej — i owe prawdziwie pańską prostotę i skromność uczuć, które temu cudnemu dziewczęciu uważać się każą raczej za siostrę stworzenia, niż za jego królową, do czego mogłaby przecież zupełnie mieć prawo...

Każdy kwiat, ptak, powiew wiatru, każda roślina, myśl każda, to bracia i siostry tej mądrej a dobrej dziewczyny, wyczuwającej sercem swą

łączność z wszechświatem, uświadamiającej ją sobie żywą, płomienną wyobraźnią dwudziestoletniej swej duszy.

Tak! On, Stanisław, czuje to oddawna, wie doskonale, że ta śliczna arystokratka w zgrabnie skrojonem ubraniu myśliwskim, jest najistotniejszą treścią jego duszy... Jest...

— Chr!... Chr!... Chr!... — rozlega się nagle gdzieś ponad wierzchołkami drzew „chrapanie“ słonki-samczyka.

— Chr!... Chr!... Chr!... — zbliża się coraz bardziej ku linii myśliwych. A oni strzelby gotowe do strzału zwrócili w stronę, z której dolał tu chrapanie ptaka.

Wzruszenie zapiera im oddech — a serca biją tak głośno, iż niejednemu wydaje się, że nadciągająca słonka usłyszeć musi bicie jego serca. Ten i ów poderwał nawet strzelbę do ramienia, w najwyższem napięciu oczekiwania, biorąc za słonekę przeciągającego nietoperza, żuka — a nawet i komara.

— Chr! Chr! Chr! Fifit! całkiem już blisko wabi samczyk.

Chwila — a widać go wyraźnie na szarzejacej purpurze nieba, jak tuż-tuż dopędza ulatującą przed nim samiczkę, jak oba ptaki zwięzłe w szyjach, podobne sowom o długich dziobach, ciągną prosto na strzelców...

Naraz szereg podłużnych błysków krwawych wykwiła wzdłuż linii — i strzały po strzałach grzmia hukiem i opadają dymem po rosie wieczornej..

— Chr... Chr... Chr!... Fit! coraz głośniejsze wabi przerażony samczyk.

— Fit! Fit! — odpowiada mu ledwo żywa ze strachu samiczka.

Z długimi, prostymi dziobami, wytkniętymi naprzód, tak błyskawicznie poruszając skrzydłami, że nie widać prawie tego ruchu — niby jakieś niesamowite żywe krzyże w półmroku wieczornym rozpięte — pędzą ptaki przed siebie. A przed nimi i za nimi wykwiatają z nad linii lasowej smugi ognia podłużne i huk strzałów grzmi i chmury dymu ścielą ją wokół po lesie...

Teraz widzi Stanisław, że słonki ciągną prosto ponad stanowisko panny Łusi.

Instynktem myśliwego wyczuwa bicie jej serca, drżenie rąk kierujących strzelbą... Czy też trafi choćby jednego ptaka!... Ale zanim ma czas dokończyć swej myśli — błysnęło dwukrotnie — i nim jeszcze przebrzmiało echo drugiego strzału — lecąca przodem samiczka zatrzymuje się nagle w powietrzu. Chwilkę w miejscu bije skrzydłami,

jak gdyby walczyła z jakąś niewidzialną przeszkodą — lecz wraz wahać się poczyniła i słaniać bezwładnie — i z piskiem żalonym, podobnym jaskółczemu kwileniu, coraz niżej — niżej ukośnie opada ku ziemi...

Uchodzi ponad las przerażony samczyk — i już — już chowa się za wierzchołki drzew — gdy wtem naraz zawraca i kołem szerokiem okrąża miejsce, gdzie wciąż jeszcze piszczy żalownie zbaczona samiczka.

Ale choć zdala krąży, nie za daleko jednak dla angielskiej „hamerleski” panny Lusi.

Znów błysk krwawy i huk — i znowu opuszcza skrzydła ptak trafiony i zataczając koła w powietrzu, bezwładnem ciałkiem opada na ziemię...

Coraz szarzej czyni się w lesie i ciemniej, choć widać jeszcze wyraźnie zarysy drzew. Z za ich wierzchołków wytacza się teraz zwolna czerwona tarcza księżyca. Parę gwiazd rozbłysło na pobludłem już niebie.

Umilkły dzwońce i trznadłe, makolągwy i zięby. Tu i owdzie kilka kosów i drozdów śpiewa uparcie w mrok, tu i owdzie przerażony strzałem paszkot lub sroka zaczeczocą gdzieś w gałęziach sosnowych.

Od czasu do czasu zapluszczcie ciężko na leśnym jeziorzku — a chwilę potem ostry świst kaczych skrzydeł przetnie powietrze — i nad głowami myśliwych kwacze kaczor w pogoni za kaczką.

A wśród wszystkich tych głosów, to tu, to tam, odzywa się głuche, a jednak głośnie chrapanie słonek z gwizdem na przemian, tłumione raz po raz hukiem strzałów, co błyskami ognia i dymu wykwitają z ciemności.

Lecz coraz mniej ciągnie już słonek — a coraz częściej odzywa się nieśmiało zrazu — lecz zwolna coraz głośniejsze rechtanie żab, czasem tak podobne do chrapania słonki, że trudno te głosy od siebie odróżnić.

Jeszcze zagęga gdzieś wysoko sznur dzikich gęsi, ciągnących z południa, zaglugoce cietrzew na zrębie — jeszcze ostatnia melodia kosa zadźwięczy po rosie wieczornej, kiedy żalodne głosy sów zawodzą i piszczą, że dzień się już skończył, a poczęło się królowanie nocy...

Schodzą myśliwi ze stanowisk, gromadzą się, rozpytują nawzajem o strzały, o słonki, pokazują sobie ubite ptaki, — wyrwywają im piórka ze skrzydeł.

— Czemuż pan nie strzelał? Jak „czapka” ciągnęła panu nad głową!

— A pan czemu dwa razy spudłował?

— Ha! Ha! To znowu co innego! — śmieją się inni.

— A to szelmy te pierwsze! Tyle strzałów do nich padło — a one nic, tylko dalej i dalej! — dziwi się wuj Lusi, stary szlachcic o szpakowatym wąsie.

— Więc „taki” uszły „na sucho?” — pyta okazałej postawy i tuszy pan starosta.

— Owszem! Padł! — odpowiada mu młodziutki oficer od ułanów.

— Obie?

— Obie!

— Któż je ma na sumieniu?

— Panna Lusia!

— Panna Lusia! Obie?!

— I nikt więcej nie ma dwóch?

— Nikt!..

— Vivat „król!” Vivat!

I wszyscy, starzy i młodzi, „cywilni” i wojskowi, otaczają kołem pannę Lusię i gratulują jej, przypatrując się zazdrośnie parze słonek, wiążących u troków dziewczyny.

Tylko Stanisława niema koło niej. Niby to opatruje strzelbę, wyjmując z luf naboje, ale powoli jakoś, nie spiesząc się... Nie spieszy się, bo wciąż jeszcze ma przed oczami odważnego samczyka, jak wraca na pisk zbarczonej samiczki, jak ją okrąża dokoła. I pisk ten słyszy żalony, i widzi zbarczonego ptaka, podskakującego o jednym skrzydle, po polanie zarośniętej białymi dzwonkami. I widzi, jak młody wyżeł Lusi, Don, boi się wziąć do pyska postrzeloną słonekę, jak raz po raz to przyskoczy do niej naszczekując, to znów odskoczy przed ptakiem, nastawiającym rozpaczliwie długi dziób do psa.

I widzi, jak panna Lusia po strzale do drugiej słonki wchodzi w las, jak podnosi samczyka i wiesza go u troków, jak potem chwytą podskakującą samiczkę jedną ręką — a drugą wyjmując szpilkę z kapelusza i wbija ją w głowę ptaka. A on zatrzepotał się jej jeszcze w ręku i pisnął parę razy...

Choć sam myśliwy, choć tyle ptaków dobijał w swym życiu, Stanisław nie może jakoś uspokoić się... Jakby go w duszę ugodził strzał Lusi do samczyka, jakby mu serce przebiła szpilka, którą dziewczyna wbiła w główkę samiczki. Ale wnet opamiętywa się. Dobić ptaka trzeba było przecież... A jak? Główką bić o lufy? Może byłoby to jeszcze gorsze... Za dobrze jest wychowanym zresztą, żeby dał poznać Lusi cośkolwiek ze swych myśli, tu, teraz przy wszystkich... Podszedł do niej, gratulując jej jak inni. Lecz choć głos jego

brzmi prawie tak swobodnie, jak zwykle — wrażliwe ucho panny Lusi chwytą w nim niedosłyszalny dla innych odcień... O! Ona czuje, ona wie dobrze, co on sobie myśli... Wszakże widziała, że mógł doskonale strzelać do samczyka, gdy ten wróciwszy, okrążał polanę — ale nie chciał widocznie, nie złożył się nawet... A ona... ona... kobieta... Nie! Nie!... Sama nie wie teraz, czy to przez brawurę wobec Stanisława, podrażniona tem, że nie chciał strzelać, czy też z gorączki myśliwskiej, która na widok zwierzyny, odruchowo, bezwólnie, prawie bezmyślnie przykłada strzelbę do ramienia... Sama nie wie... Lecz to wie, że tak żal jej teraz, tak bardzo żal... i tak wstydi się siebie i jego... Tak palą ją i te okrwawione, białe rękawiczki... i te cudne rdzawo-szare ptaki o dużych, wilgotno-czarnych oczach, ciepłe jeszcze, a wiszące martwo, bezwładnie u jej troków... O! Tysiąc razy wolałaby jedno słowo rozgrzeszenia od niego, Stanisława, niż wszystkie gratulacje „tamtych“...

Tymczasem „tamci“ palą papierosy, gwarzą wesóło, umawiają się na jutrzejszy ciąg, idąc linią ku polanie, gdzie czekają na nich konie...

Ciepło jest — pachnie po deszczu. Świeże, dziewicze tchnienie wiosny płynie z lekkim powiewem wiatru — bije z powietrza — tryska z ziemi młodemi pędami traw, ziół, pąkami drzew wezbranem już sokami. Moc budzącego się życia zaludnia mrok. Pisk czajek przecina powietrze, zmieszy z beczaniem bekasów. Uwijają się za śmami nietoperze — żałośnie hucząc, żuki raz po raz przelatują ponad drogami. Od czasu do czasu z szumem i świstem skrzydeł przeciągnie nad latem stadko jakiegoś ptactwa, ciągnącego na północ...

Pachnie noc wiosenna — pieści twarzyczkę Lusi, przyspiesza bieg jej krwi — dziwnem jakimś szczęściem rozpiera pierś dziewczyny. A ona czuje dobrze w tej chwili, jaśniej może niż kiedykolwiek, że wszystko, co stworzone, ma prawo do życia, do nieokreślonych jakichś jego nadziei, do jakiejś wielkiej, życie chłonnącej miłości...

Tak! Wszystko ma do niej prawo: człowiek i zwierz, drzewo i kwiat, trawa i ptak... wszystko... wszystko...

Myśliwska drużyna doszła już do polany, na której stoją zaprzężone wózki.

— I „król“ też jutro z nami! — żegna Lusię okazały starosta — jutro powinny lepiej ciągnąć — dziś nie było ich jeszcze wiele. Cóż? Będzie pani?

— Nie wiem, czy będę mogła...

— Ale niech pani przyjedzie — prosi cały chór młodych „cywilnych“ i wojskowych — niech pani przyjedzie — tak ładnie, ciepło...

— Pani ma obowiązki wobec nas! — nalega z zapalem piękny rotmistrz — pani jest naszym „królem“, bez pani my jak bez komendanta! Cóż? Możemy się spodziewać? — pokręca zwycięsko czarnego wąsa.

— Może... — uśmiecha się Lusia.

— O! O! — mruczy starosta — moja prośba to nic, bodaj to młodym być!

— I wojskowym — dodaje cicho elegancki konceptista starostwa w sportowym ubraniu i złotych sztalpach.

Coś jak uczucie zazdrości prześlizguje się przez serce Stanisława, gdy widzi, jak cały klub myśliwski asystuje swemu „królowi“ — gdy patrzy na rzymski profil rotmistrza, rysujący się w blasku księżycowym, na białe jego zęby, błyskające z pod czarnego wąsika.

Ale Lusia wymknęła się zręcznie towarzyszom i wskoczyła do kabrioletu.

— Do widzenia!

— Do widzenia!

— Dobranoc!

— Dobranoc!

Prychanie koni rwących się do domu, głuszy resztę pożegnań — głuszy i ostatnie słowa dziewczyny, jakie, zanim wuj nadszedł, zdołała szepnąć odprowadzającemu ją do powoziku Stanisławowi:

— Pana jednego kocham z całej duszy — a strzelby do rąk więcej nie wezmę...

Księżyc przegląda się w przydrożnych jeziorach — oblewa srebrem łąchy białych dzwonek, rozsypane po lesie.

KONIEC.



MAURYCY LEBLANC.

DAMA JASNOWŁOSA.

(Ciąg dalszy).

— Niemożliwe. Powiedział nam pan, że między sygnałem dzwonka a chwilą, w której pan zszedł do pokoju, upłynęło najwyżej trzy minuty. Gdyby więc baron dzwonił przedtem, to znaczy, że walka, zbrodnia, agonja i ucieczka odbyły się w tej krótkiej przerwie trzech minut. Powtarzam: to niemożliwe.

— A jednak — rzekł sędzia śledczy — ktoś dzwonił. Jeśli nie baron, to kto?

— Zbrodniarz.

— W jakim celu?

— Nie wiem. Ale w każdym razie fakt, że dzwonił, przekonywa nas, iż musiał wiedzieć, że dzwonek łączy się z pokojem służącego. Więc ktoś znać może podobny szczegół, jeśli nie ktoś domowy?

Koło przypuszczeń się zacieśniało. W kilku zdaniach szybkich, jasnych, logicznych, Ganimard stawiał pytanie na właściwym gruncie i myśl starego detektywa jasno się zarysowywała. Teraz najzupełniej naturalnem się wydało, gdy sędzia śledczy zawnioskował:

— A więc krótko mówiąc, w trzech słowach: podejrzewa pan Antoninę Bréhat?

— Nie podejrzewam — oskarżam ją.

— Oskarża pan, jako współniczkę?

— Oskarżam, jako zabójczynię barona d'Hautrec.

— A więc, jakież dowód?...

— Ta garść włosów, którą znalazłem w prawej dłoni ofiary, nawet ze skórą, zdartą widać paznogciami.

I pokazał włosy; były jasne blond, złocisto jasne, a Karol wyszeptał:

— Tak, to włosy panny Antoniny... Niepodobna, by zachodziła pomyłka.

A potem dodał:

— I jeszcze... inna rzecz... Zdaje mi się, że nóż ten, którego już nie zastałem za drugim razem był jej własnością... Używała go do rozcinania kartek.

Cisza zapanowała długa i ciężka, jak gdyby zbrodnia stawiała się straszniejszą przez to, że dopełniła ją kobieta.

— Przypuśćmy — odezwał się sędzia śledczy — zasu lepszego wyświetlenia sprawy, że baron

został zabity przez Antoninę Bréhat. Należy jeszcze wyjaśnić, jaką drogą wyjść mogła po zbrodni, aby znów wrócić po odejściu pana Karola i znów wyjść przed przybyciem komisarza? Jaka jest pańska opinia o tem, panie Ganimard?

— Żadna.

— Więc?

Ganimard miał wyraz zakłopotania. Wreszcie rzekł z widocznym wysiłkiem:

— Wszystko, co mogę powiedzieć to to: że odnajduję tu to samo postępowanie, co w sprawie losu Nr. 514 seryi 23, to samo zjawisko, które możnaby nazwać zdolnością ulatniania się. Antonina Bréhat zjawia się i znika tak samo tajemniczo w tym domu, jak Arsen Lupin dostał się do mieszkania pana Detinan i znikł z niego w towarzystwie jasnowłosej Damy.

— A to znaczy?

— To znaczy, że nie mogę powstrzymać się od zestawienia w myśli tego dziwnego zbiegu okoliczności:

Antonina Bréhat była zgodzona przez siostrę Augustę przed dwunastu dniami, tj. nazajutrz po tem, gdy jasnowłosa dama wysunęła mi się z rąk. Po drugie włosy jasnowłosej damy mają właśnie tę wpadającą w oczy jasną barwę ze złocistym odcieniem, jaką tu spostrzegamy...

— W ten sposób, według pana, Antonina Bréhat...

— Jest jasnowłosą damą.

— A co zatem idzie, Lupin jest autorem i tej sprawy?

— Tak myślę...

Nastąpił ogólny wybuch śmiechu. Szef policyi bawił się:

— Lupin! Zawsze Lupin! Lupin jest we wszystkim! Lupin jest wszędzie!

— Jest tam, gdzie jest — wycedził Ganimard rozjątrzony.

— Jednak trzeba mieć przyczynę, aby gdzieś być, — zauważył pan Dudouis — a w tym razie przyczyny wydają mi się niejasne. Biurko nie jest wyłamane, ani portfel skradziony. Złoto pozostało nawet na stole.

— Tak — zawołał Ganimard — ale sławny dyament?

— Jaki dyament?

— Dyament niebieski! Sławny dyament, który zdobił koronę królewską Francji i który był ofiarowany przez księcia d'A... Leonidzie L..., a po śmierci Leonidy L... odkupiony przez barona d'Hautrec przez pamięć znakomitej aktorki, którą kochał namiętnie. To historia, której stary, jak ja, Paryżanin nie zapomni nigdy.

— Oczywiście — rzekł sędzia śledczy — że jeśli niebieski dyament się nie znajdzie, wszystko się wyjaśni... Ale gdzież go szukać?

— Na palcu pana barona — rzekł Karol. — Niebieski dyament nie schodził z jego lewej ręki.

— Widziałem tę rękę — potwierdził Ganimard, zbliżając się do nieboszczyka — i mogą się panowie przekonać, że jest na niej tylko prosta obrączka złota.

— Niech panowie patrzą od strony dłoni — odezwał się znów służący.

Ganimard rozprostował skurczone palce: klejnot był odwrócony i w głębi dłoni rzucał przepyszne blaski.

— Do dyabła! — mruknął Ganimard, zupełnie zawiedziony — już nic nie rozumiem.

— Teraz myślę, że pan poniecha oskarżenia tego nieszczęśliwego Lupina? — zaśmiał się pan Dudouis.

Ganimard zastanowił się chwilę i odpowiedział tonem sentencyjnym:

— Właśnie dlatego, że nie rozumiem nic, oskarżam Arsena Lupina.

Takie były pierwsze wskazówki, otrzymane przez władze sądowe nazajutrz po niebywalej zbrodni. Wskazówki niewyraźne, mgliste, którym dalsze śledztwo nie przysporzyło ani ciągłości, ani pewności. Wyjście i powrót Antoniny Bréhat pozostały zupełnie niewyjaśnione i ani trochę więcej nie wiadano, kto jest ta tajemnicza osoba o złotych włosach, która zabiła barona d'Hautrec a nie wzięła z jego palca legendarnego klejnotu z królewskiej korony Francji.

I ciekawość, którą wzbudzała jej postać tajemnicza, nadawała tej zbrodni doniosłość olbrzymiego przestępstwa, co roznamiętniało opinię publiczną.

* * *

Spadkobiercy barona d'Hautrec mogli sobie tylko powinszować podobnego rozgłosu. Zorganizowali oni przy ulicy Henri-Martin, w samym domu nieboszczyka, — wystawę mebli i przedmiotów, które wkrótce być miały sprzedane drogą licytacji w sali Drouot. Meble współczesne i miernego gustu, przedmioty bez wartości artystycznej... ale w pośrodku na cokół, obciążonym czarnym aksamitem, pod szklanym kloszem, strzeżony przez dwu agentów policyi — błyszczał pierścień z niebieskim dyamentem.

Dyament przepyszny, ogromny, czystości nie-zrównanej, o tonie niebieskawym, jaki przybiera woda źródłana, w której odbija się niebo. Podziwiano go, unoszono się... i spoglądano trwożliwie do pokoju ofiary, na miejsce, gdzie znaleziono trupa, nadewszystko zaś na ściany, ściany nie do przebycia, skroś których jednak uciekła morderczyni. Upewniano się, czy marmur kominka nie jest ruchomy, czy jakiś gzyms lustra nie ukrywa utajonej sprężyny, za pomocą której dałoby się obrócić koło swej osi... Przypuszczano istnienie drzwi utajonych, otwory tunelu, komunikację kanałami ściekowymi, z katakumbami.

Sprzedaż niebieskiego dyamentu miała miejsce w gmachu Drouot. Tłum dusił się i gorączka licytujących wzrastała do szaleń.

Zgromadził się tu cały Paryż, żądny wrażeń, wszyscy, którzy kupują i którzy chcą dać do zrozumienia, że mogą kupić: giełdjarze, artyści, damy wszystkich sfer towarzyskich, dwu ministrów, jeden tenor włoski, jeden król na wygnaniu, który aby utrwalić swój kredyt, pozwolił sobie z wielką powagą, głosem dźwięcznym, posunąć cenę aż do stu tysięcy franków. Sto tysięcy franków! mógł je ofiarować, nie kompromitując się. Tenor włoski zaryzykował 150, jeszcze ktoś 175.

Od 200 tys. franków amatorowie się zniechęcili. Po 200 tysiącach pozostało ich zaledwie dwoje: Herschmann, głośny finansista, król kopalni złota i hrabina de Crozon, bogata Amerykanka, której kolekcja dyamentów i drogich kamieni była znana.

— Dwieście sześćdziesiąt tysięcy... dwieście siedemdziesiąt tysięcy... siedemdziesiąt pięć... osiemdziesiąt... — ogłaszał komisarz, zapytując kolejno wzrokiem oboje współzawodniczących. Dwieście osiemdziesiąt tys. dla pani... Nikt więcej nie daje?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



DZIERCIĘ Z ULICY.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Mówiąc to, rzucił cugle groomowi i po upływie kilku sekund zniknął w wili, której drzwi bez szelestu się za nim zamknęły.

Adjutant był z początku trochę zdziwiony, potem włożywszy ręce do kieszeni, poddał się swemu losowi. Przygotował się na to, że czekanie jego potrwa kwadrans, albo i pół godziny, ale minęła już prawie godzina, a książę Dagobert nie wracał.

Książę był w ogóle nadzwyczaj grzecznym i rycerskim człowiekiem, któremu łatwo było można usłużyć, ale przy takich drobnych sposobnościach objawiało się zawsze jego poczucie wyższości osobistej i mniemanie, że inni są tylko stworzeni na to, aby jemu, przyszłemu panującemu, uprzyjemnić życie.

Leon Rommingen gniewał się w głębi duszy, ale dziwna rzecz, gniew jego zwracał się mniej ku Jego Księżęcej Wysokości, niż ku tej pięknej kobiecie, która w swojej próżności zatrzymywała go tak długo u siebie, pomimo, że ją wczoraj przestrzegali.

A jednak Ferra wcale temu winną nie była. Gdy bowiem pani Bogdanow, u której książę kazał się zameldować, sama go tylko przyjęła, nie mogła się wstrzymać od śmiechu na widok rozczarowania, jakie twarz jego wyrażała i rzekła:

— Niech Wasza Księżęca Wysokość raczy poczekać chwilę, każe natychmiast zawołać Ferrę.

Posłała służącą do niej, a książę Dagobert tymczasem unosił się nad pięknnością i wdziękiem jej kuzynki.

— Ale ona jest naturalną — ganiła ją Marya Pawłówna.

— To ją właśnie czyni zachwycającą! — zawołał książę z uniesieniem. — Proszę pani, zostaw ją taką! W całej tej dusznej atmosferze, jaka nas otacza, jeden świeży powiew!

— Wasza Księżęca Wysokość wpadasz w zapał — rzekła pani Bogdanow złośliwie. — Myślę, że to jeszcze częściej się zdarzy.

Pochyliła swoją żółtą, drobną twarz nad kłębkim jedwabiu, który zwijała.

— Zdaje mi się — ciągnęła dalej — że to trochę niebezpieczna rzecz dla mężczyzn w tym wieku i na tem stanowisku.

Książę Dagobert spojrział na nią uważnie, poczem rozśmiał się swobodnie.

— Doprawdy! — zawołał — pani jesteś złośliwą, ale nie gniewam się.

Tymczasem weszła Ferra, świeża, uśmiechnięta, tak samo czarująco piękna przy świetle słońca, jak wczoraj wieczorem przy świetle lamp.

Książę Dagobert podbiegł ku niej i pocałował ją w rękę.

— Widząc panią, nie potrzebuję się pytać, jak się pani miewa — rzekł, patrząc na nią błyszczącymi oczyma.

— Jadąc tu, robiłem sobie wprawdzie wyrzuty — dodał — że w tak wczesną porę panie odwiedzam, lecz...

— Pomimo to wasza księżęca mość przybył — dokończyła sucho pani Bogdanow.

— Wszystko, co się z chęcią czyni, ma nieprzewycięzoną siłę wykonawczą — odrzekł książę uprzejmie, nie zwracając uwagi na słowa złośliwej pani Bogdanow. — Przybyłem zaś głównie po to, aby zaprosić panie na sannę. Zamierzaliśmy już od dawna urządzić coś w tym guście, pocziwy Neukirch ma świetne pomysły, lecz dotychczas było za mało śniegu. Księżna Arbanow zaś nie potrzebuje się obawiać śniegu i lodu, przyzwyczaiła się zapewne do tego na rosyjskich stepach. Zresztą zimno służy podobno zdrowiu.

— Dla tego zostawia Wasza Księżęca Wysokość swego adjutanta tak długo na dworze? — zapytała pani Bogdanow, patrząc przez okno. — Biedak zamieni się w bryłę lodu.

— Ach, Boże, zapomniałem o nim, ale to jest tylko winą pani.

Ferra zbliżyła się do okna i spojrzała z litością na Leona.

— Czemu go nie kazałaś prosić, Maryniu? — rzekła z wyrzutem.

— Ba, Rommingen jest żołnierzem, a któżby nie wystawił się chętnie na co innego jeszcze, aby pozyskać jedno litościwe spojrzenie tych pięknych oczu — rzekł książę.

— Obawiam się, że w tej mierze zdania obu panów nie zgadzałyby się — wtrąciła złośliwie Marya Pawłówna.

Książę wzruszył ramionami. Mogło to oznaczać tak potwierdzającą, jak przeczącą odpowiedź.

— Dałem długo czekać na siebie, pardon! — rzekł książę do Leona, tłumacząc się niby. Poczem wsiadł do powozu.

Romminger uklonił się w milczeniu, był bardzo rozgniewany.

Nagle książę zwrócił się do niego i patrząc mu w oczy, zapytał:

— Jak się panu podoba księżna Arbanow? Ale szczerze i otwarcie! Pan jesteś człowiekiem światowym i umiesz ludzi oceniać.

— Chwilowo brak mi jeszcze wszelkiej pod tym względem podstawy — odrzekł Leon.

— Jak gdyby tego była potrzeba! Ona mi się podoba, nawet bardzo — i książę zmarszczywszy czoło, westchnął głęboko — ale wiem, że jej tu będą dokuczali... Zwykle nienawidzi się to, czego osiągnąć nie można, mianowicie nasze panie dadzą jej uczuć swą nienawiść.

Uderzył silnie konie i zmarszczył czoło jeszcze głośniejsze; adjutant zaś milczał ciągle.

— Życzylbym sobie, żeby się w stolicy znalazł ktoś taki, któryby się nią szczerze zajął i kogoby nikt o inne zamiary nie podejrzewał. Opieka Neukircha kompromituje, wiesz co zły świat mówi, ale pan naprzykład —

Książę mówił coraz prędzej, nie patrząc wcale na swego adjutanta, nareszcie umilkł, oddychając ciężko.

— Podług mego, bardzo może mylnego zdania, jest najstosowniej, jeżeli się od samego początku rozsądnem postępowaniem unika wszystkiego, co mogłoby dać powód do plotek. Kobieta, jeżeli tylko chce, potrafi najlepiej sama rozbroić swoich nieprzyjaciół i opiekować się sobą.

— Dobrze, nie mówmy już o tem.

Książę był widocznie mocno rozgniewany.

— Nie pojmuję wprawdzie, że pan, równie jak ja nie uznajesz tego, że kobieta w niektórych rzeczach jest zupełnie bezbronna.

Książę Dagobert był w złym humorze; usposobienie Leona także nie było wesołe i z uczuciem przykrości myślał sobie: „Strzedz dobrego imienia kobiety, na którą książę zwrócił oczy i która hołdy jego przyjmuje, co za nierozsądne i niepotrzebne marnowanie czasu“, i w tej chwili zapominając o tem, co poprzednio mówił do księcia, myślał dalej: „W każdym razie będę na nią uważał i będę jej strzegł o ile możliwości“.

Po odjeździe księcia zabrała się pani Bogdanow znowu do zwijania jedwabiu, Ferrra zaś stała przy oknie i patrzyła na ulicę. Czuła się bardzo zadowoloną z swego istnienia, cieszyła się widokiem spadającego śniegu i białych drzew, a zwłaszcza cieszyła ją mająca się odbyć sanna, co zawsze bardzo lubiła; słowem znajdowała się w rozkosznym stadium zupełnego szczęścia. Być może, iż do tego przyczyniał się piękny adjutant, którego obraz zawsze widziała przed sobą, ale namyślała się nad tem dłużej.

W słodkim zamyśleniu śpiewała półgłosem, poruszając swoją piękną główką stosownie do taktu melodyi. Głos jej brzmiał jak cichy świergot ptaszka, a jednak pani Bogdanow upuściła swój kłębek na kolana i spojrzała rdumiona na swoją kuzynkę.

Księżna śpiewała jakąś piosnkę, gdy równocześnie zapytała Marya Pawłówna:

— Skąd znas tę piosnkę Ferro?

— Nie wiem, nasunęła mi się tak mimowoli na usta, dalej jej też nie umiem.

— Konstanty nie byłby ci z pewnością pozwolił śpiewać podobnych rzeczy, ani odwiedzać miejsc, gdzie te piosnki bywają śpiewane — mówiła dalej pani Bogdanow ostro.

Ferra zbliżyła się zaciekawiona.

— Ależ, kochana Maryniu, ja o tem nic nie wiem. Czy to jest coś tak bardzo złego? Skąd ja mogę znać tę piosnkę? — zapytała sama siebie i usiadła na krześle.

Podparła głowę na rękę i patrząc na swoją drobną nóżkę spoczywającą na niebieskiej, atlasowej poduszce, zamyśliła się głęboko.

— Musiałam ją słyszeć już dawno temu — rzekła po chwili — nie mogę sobie wcale przypomnieć kiedy. Ale skąd ty ją znasz?

— O, ja, to zupełnie co innego — odparła Marya Pawłówna, zapalając papierosa. — Ja lubię poznać jak najdokładniej obiedwie strony każdej rzeczy i dla tego będąc raz w Paryżu z moim mężem, odwiedziłam tę część miasta, gdzie panuje nędza i występki. Wówczas była ta piosnka bardzo w modzie, słyszałam ją w wszystkich trzecio- i ostatniorzędnych restauracjach i kawiarniach. Raz nawet śpiewało ją dziecko, mała dziewczynka i takie to przykre sprawiło na mnie wrażenie, że jej od tego czasu znieść nie mogę.

Ciąg dalszy nastąpi).



Marya Rodziewiczówna.

JERYCHONKA.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Nie wytrzymam, pójdę do niej. Powiem wszystko, niech mnie broni przed samym sobą — zawołał, zrywając się.

I poszedł. Po drodze spotkał Oryża.

Szedł w mróz, odziany w kusą i lekką kurtkę, bez kaloszy i rękawiczek, z rękoma w kieszeniach i miną milionera. Gwizdał i śpiewał naprzemian.

Gdy się mijali, Filipowi się zdało, że ten się drwiąco uśmiecha, więc go zaczepił podobnie:

— Pan się widocznie do Włoch wybiera?

Oryż ramionami wzruszył.

— Nie wziąłem żadnego spadku, więc nie mam po kim donaszać zimowej garderoby! — odciął i zaraz złożył znów usta do gwizdania i poszedł dalej.

— Antypatyczna kreatura! — mruknął Filip.

Od pierwszego wejrzenia czuł niechęć do tego człowieka, prawie wstręt. Bywają takie przecucia, że ten właśnie będzie wrogiem, rywalem lub narzędziem złego losu.

U drzwi baronowej długą chwilę Filip zbierał zmysły, zanim zadzwonił, potem z szalonym biciem serca liczył sekundy.

Było to jego zwykłe wejście do osobistych apartamentów pięknej pani. Służąca, opłacana po królewsku, знаła jego sposób dzwonienia i zwykłe otwierała natychmiast. Teraz dość długo nikt się nie zjawiał. On przechodził tortury, już chciał odejść, gdy wreszcie usłyszał kroki i odsuwanie zatrzasku.

Subretka wytknęła swoją impertynencką twarz i szekła szeptem:

— Starsza pani była u pani baronowej i tak się spierały, że nie śmiałam otworzyć. Dobrze, że pan przyszedł, a toby się zażarły!

— A pana nie było? — spytał jako o rzecz możliwą.

— Nie. Od tego czasu nie był, ino list przysłał. To o list tak się panie spierały — szepnęła i uciekła, bojąc się podejrzeń.

Filip wszedł do buduaru, gdzie było zupełnie ciemno; tylko na żelaznym kominku palił się ogień, oświetlając leżącą na kanapie baronową. Radczyni umknęła, zostawiając, jako ślad po sobie, pelerynkę i książkę kucharską.

— Ach, to ty! — rzekła baronowa leniwym, apatycznym tonem, przeciągając się ruchem kocim i nie podnosząc oczu od ognia.

Nic nie odpowiedział, usiadł naprzeciw w fotelu i wsparł łokcie na kolanach, a głowę na rękach.

Zdziwiło ją milczenie, więc spojrzała na niego.

— Wracasz ze ślizgawki? Ja dziś byłam tak rozstrojona i rozdrażniona, że z domu nie wychodziłam.

— Któż cię rozgniewał? mąż? — spytał głucho.

— Matka, naturalnie! — odparła, nie zdając niczem, że ją przeraziło jego pytanie.

— Cóż to nowego?

— Ja proszę, błagam, żeby stąd wyjechać. Ten Kraków tak mi obmierzył, że wytrzymać dłużej nie mogę z nudów, a ona mi przyrzeka wyjazd w maj!

Raziło go każde słowo, gorycz napępiała mu duszę i bunt się wzmagał.

— Czy ci tak pilno do San-Remo pochwycić ordynata Faustangera i zobaczyć męża? — bryzgnał zjadliwym tonem.

Baronowej zamigotały oczy. Nie znosiła tego tonu, budził w niej złość i opór.

— Być może — odparła.

— W takim razie zbyt uczciwa ci matki opieka i pieniądze. Mąż ją zastąpi.

— Zapewne! — mruknęła, zacinając się coraz gorzej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ZA WINY OJCÓW.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Potem nastąpiły dni deszczowe i pochmurne; gęsta mgła zasłaniała góry, słońce wcale się już nie ukazywało, i byłabym pewnie popadła w dawną melancholię, gdyby nie mój nowy przyjaciel, monsieur Dornet i stara moja przyjaciółka, muzyka. Barbara codziennie służyła nam za pośrednika; Dornet nie pragnął widocznie zobaczyć znowu siedemnastoletniego „dziecka“, ale „madame“ musiała być tak dobrą pytać codziennie, co „mademoiselle“ życzy sobie słyszeć, czy fugę Bacha, czy sonetę Bethovena, czy balladę Chopina, albo coś z dzieł Wagnera i spełniał wszystkie moje życzenia!

Ach, byłam teraz szczęśliwą, szczęśliwą nad wszelki wyraz! Ten tylko, kto muzykę tak gorąco kocha, jak ja, komu ona, tak jak mnie potrzebna jest do życia, kto jej się przez tak długi czas musiał wyrzec, ten tylko zdoła pojąć szczęście, jakim się teraz cieszyłam, jakiego używałam w całej pełni.

Leżałam na kanapie zachwycona, upojona, z sercem przepelnionem wdzięcznością i uwielbieniem! Takiej muzyki bowiem nie słyszałam dotychczas! Przemawiała ona do mnie, pieściła mnie, wzruszała, zbudzała z uśpienia do nowego życia, do nowej energii, uczyła mnie kochać świat i ludzi i czyniła mnie śmielszą i lepszą. Zapomniałam o tem, co przecierpiałam i nabrałam nowej odwagi i nadziei na przyszłość. A gdy czasem rozplakana i drżąca zamykałam zmęczona oczy, spływały z góry słodkie dźwięki kołysanki i uspokajały cudownie zbolące, znękanе moje serce.

Mogłam teraz sama już chodzić po pokoju i stać przez chwilę bez pomocy Barbary. Wkrótce też ustał deszcz, słońce znowu zajaśniało, a drzewo jabłoni pokryło się całe świeżem, różowem kwieciem.

Otworzyłam szeroko okno.

— Patrz Barbaro — zawołałam żywo. — Takiej wiosny nigdy jeszcze nie widziałam!

— Ależ Doro! Byłaś przecież dwa lata nad jeziorem Genewskim i patrzałaś tam na wiosnę — musi ona być tam jeszcze piękniejszą!

— Tak, jest piękną, wspaniałą, a jednak nie tak urocza jak tutaj! Albo może nie odczuwałam wtenczas tych cudów tak, jak teraz. Zdaje mi

się [wogóle, że jestem teraz zupełnie innym człowiekiem.

— To wpływ wracającego zdrowia i przepysznej muzyki. Pójdź Doro, ubierzemy się dziś ładnie na cześć wiosny! Precz z tym wiecznym szlafrokiem! Przyniosę ci twój różowy kostium.

— Ach tak! Różowy kostium! Przynieś go prędko Barbaro, chciałabym wyjść jak najprędzej.

I wyszłam, oparta na ramieniu Barbary, i nie zważając na jej rady, abym się nie męczyła zbyt, stałam długo z wyciągniętymi ramionami jak ptak, próbujący lotu, i czułam się zdrową i silną, jak dawniej.

— Bon jour! — rzekł nagle ktoś za mną i silniejsze ramię, niż ramię Barbary, objęło mnie ostrożnie, wiedziałam natychmiast, kto to jest; odwróciłam się z uśmiechem i spojrzałam prosto w oczy panu Dornet. On uśmiechał się także, zaprowadził mnie do fotelu, potem cofnął się nieco i złożył mi głęboki ukłon.

— Miss Paoli — rzekł poważnie — pozwól pani...

Ale ja nie pozwoliłam dokończyć mu — ta uroczysta przemowa wydała mi się niezmiernie śmieszną — spojrzeliśmy na siebie, i jak na umówiony znak, wybuchnęliśmy oboje głośnym, wesołym śmiechem.

Barbara stała obok nas i śmiała się także, szczęśliwa, że moja dawniejsza wesołość, którą w Vevey nazywano „rozkoszną“, znowu wróciła.

Dornet pierwszy stał się znowu poważnym.

— No, dzięki Bogu! — rzekł serdecznie — dzięki Bogu!

— Za co? — zapytałam zdziwiona.

— Że nie jesteś pani osobą z wielkimi wymaganiem, że masz usposobienie dziecka! Z tego tak się cieszę! Ale kto też patrzy na świat tak pięknymi oczami...

— Ten jest zobowiązany do pozostania wiecznie dzieckiem i nie może nigdy pomyśleć o prawach dorosłego człowieka — dokończyłam.

— Chciałem rzeczywiście co innego powiedzieć, miss Doro, ale niech i tak będzie! Powiedz sama, mistress Morton, czy ta dorosła panna nie wygląda i dziś jeszcze jak dziecko, z tą małą, białą twarzą i krótkimi włosami?

— Tak — potwierdziła Barbara — gdy ją się widzi siedzącą w tym wielkim fotelu, nie można jej uważać za dorosłą dziewczynę, która ukończyła całą pensję i tak okropnie wiele się uczyła.

Dornet westchnął lekko.

— Widać skutki tego natężenia!

Spojrzałam na niego wyzywająco.

— Więc pan jesteś pewnie tego zdania, że natura nie potrzebowała się trudzić obdarzeniem zdolnością kobiet; że kobiety powinny się zadowolnić urodą, wdziękiem, a nie myśleć samodzielnie i pragnąć zdobyć sobie niezależność w świecie?

— Dorol — zawołała Barbara przestraszona. — Co to za idee? Zkądże ci one przychodzą do głowy, dziecko!

— Czytałam o tem dużo — odrzekłam hardo, chcąc ukryć zmieszanie, jakiego natychmiast doznałam. — Stella też mówiła zawsze, że mężczyźni czują się obrażonymi, gdy kobieta uczy się i umie wiele, a mianowicie, gdy ma odwagę wypowiedzenia własnego zdania i okazania czynem energii.

— Ja się tem nie obrażam — rzekł Dornet spokojnie.

Nie mówił ani złośliwie, ani wyniośle, tylko zupełnie poważnie.

— Jeżeli dojrzały charakter kobiety — dodał — pragnie się wzbogacić z wewnętrznego pędu, lub dla zajęcia się naukami, lub też dla podzielenia się niemi z innymi, jeżeli więc taka kobieta chce się wzbogacić umysłowo wiadomościami i nie pyszni się z tego, tylko pozwala zajrzeć w głąb duszy tym, których uważa za godnych, taką kobietę ja wysoko szanuję. Mężczyzna, któryby chciał przytłumić własne zdanie takiej kobiety, byłby w moich oczach szalonym. Ale kto nie jest jeszcze dostatecznie silnym i dojrzałym umysłowo do takiej pracy, ten nie powinien się do niej zabierać, a kto jest zbyt młodym i niedoświadczonym, aby sobie wyrobił własne zdanie i odrębne przekonania, ten winien dać temu pokój i być wesołym i szczęśliwym i cieszyć się, że wobec zgryźliwej starości z wszystkimi jej mądrościami i żelaznymi zasadami ma wszelkie inne korzyści, a mianowicie piękną, uroczą młodość — młodość, której się wiele rzeczy wybacza, która bezkarnie może być nielogiczną i szaloną w swych cierpieniach i radościach, które przesuwają się jak różowe obłoczki na niebie, młodość, która się strasznie mści, gdy kto względem niej zgrzeszy, lub jej jarzmo nakłada, przeciw któremu nie jest dostatecznie uzbrojoną.

— To wszystko odnosi się do mnie — rzekłam z ciężkiem westchnieniem.

Dornet uśmiechnął się, oczy jego zaś nie zmieniły poważnego wyrazu.

— Tak, odgadłaś, miss Dorol! Madame miała sposobność opowiadania mi nieco o tobie. Dziwne oczywiście odebrałaś wykształcenie. Ujarmiono i nadwyreżono twój młody umysł tak, że cudem nieomal wyszedł on z całej tej sprawy niezłamany. Po ośmiu lub dziewięciu latach byłaby taka metoda uczyniła z ciebie prawdziwą kapłankę nauki — obecnie rzecz ma się przeciwnie, jestem pewien, że czujesz wstręt do niej i jeśli pani chcesz usłuchać mojej rady, to porzuć całe uczenie się na jakiś rok lub dwa, wyjąwszy kilku przedmiotów, które szczególnie lubisz. Inteligencji bowiem przemocą zdobyć nie można i nagle pobudzić czegoś do pełnego rozkwitu, co dopiero jest w pączku. Nie można też sztucznie rozwinać umysłu, zanim dusza i serce nie poznają życia.

Każde słowo przemawiało mi do serca; tak, ja tak samo czułam, tylko, że nie potrafiłam tego wyrazić. Powiedziałam mu to i zapytałam, skąd on odgaduje moje myśli?

— To nie jest tak trudno miss Dorol! Gdy cię po raz pierwszy ujrzałem, uważałem cię wprawdzie za dziecko, ale spostrzegłem natychmiast, że oprócz fizycznego cierpienia, cierpisz i moralnie, bo to zdradzały twoje — twoje — ale gdzież ja mogłem widzieć dawniej twoje oczy? Wiesz, miss Dorol, to mnie niepokoi, że sobie tego nie mogę przypomnieć. Czy przypadkiem nie znałem twoich rodziców? Paoli — Paoli! Nie przypominam sobie znajomych tego nazwiska. Może mistress Barbara będzie tak dobrą pomódz mi trochę. Czem był ojciec miss Dory?

Widocznie Barbara, stojąca za moim fotelem dała mu znak, bo Dornet umilkł natychmiast.

— Niczego się pan nie dowiesz — rzekłam smutnie — tak samo jak i ja nigdy się niczego nie dowiem. Niema nic naturalniejszego, jak, że się opowiada dziecku, które rodziców nigdy nie znało, a tęskni do nich, jak najwięcej o tych ukochanych rodzicach tyle i tak długo, że nareszcie zachowa na wieki obrazy ich w swem sercu. Muie to się nigdy nie dostało w udziale. Ja nie wiem o moich rodzicach i nie wolno mi nawet o nich pytać — powiedziano mi to zaraz, częścią łagodnie — częścią surowo. Nie wiem też, na jakim stanowisku w świecie stał mój ojciec, czem się zajmował — nigdy mi nie powiedziano, gdzie i kiedy umarł i gdzie jest pochowany.

Przykre milczenie zapanowało po tych moich słowach; kilka listków białych z drzewa, strącone lekkim powiewem wiatru, spadły na moje

włosy, Barbara zaś wzięła moją rękę i ścisnęła ją czule, jak się to czyni dziecku strapiionemu; ja też byłam dzieckiem i miałam wielki kłopot! Dornet stał koło mnie i patrzył w niebo. Po chwili wyszeptał jedno słowo, jedno tylko, a brzmiało ono dziwnie miękko i serdecznie.

— Co pan mówisz? Jakie to było słowo? — zapytałam mimowoli.

— Rosyjskie! Brzmi ono „duszeńka“ i oznacza: „moja duszko“.

Uśmiechnęłam się.

— Szepcesz pan rosyjskie słowa, a chcesz być Francuzem!

— A chcę być Francuzem! — powtórzył Dornet wesoło. — Wszakże podpadło to pani przy naszym pierwszym widzeniu się! Co pani myślała o tym zuchwałym Francuzie, który cię zaraz na ręce wziął? Byłaś bardzo oburzoną?

— Wcale nie! Bawiło mnie to bardzo! Zresztą mogłeś pan uczynić, co chciałeś, a ja nie byłabym się bynajmniej oburzała! Wszakże uzdrowiłeś mnie pan swoją muzyką i ja dziękuję panu za to, dziękuję z całego serca!

Mówiąc to, ujęłam jego rękę i uścisnęłam ją serdecznie.

— Więc tak namiętnie lubisz muzykę, miss Doro?

— Tak, namiętnie!

Czułam, że głos mój drży, a łzy stawają w oczach.

— Dora jest bardzo muzykalną — odezwała się Barbara — gra podobno bardzo dobrze!

— Ależ Barbaro! — zawołałam z wyrzutem. — Pan Dornet pomyśli, że ma obowiązek proszenia mnie, abym mu co zagrała i że będzie

mnie musiał pochwalić, a dla wielkich artystów nie ma nic okropniejszego, jak zadanie słuchania gry setek tak zwanych artystów i artystek i przepowiadania im świetnej przyszłości, jedynie w celu pozbycia się ich. Później czytają w gazetach swoje słowa, wydrukowane wielkimi literami!

— Bardzo trafnie, miss Doro! Kto to pani opowiadał — nie rzekł ani jednego słowa za wiele! — Ileż miernych talentów, ileż zarozumiałości spotyka się na każdym kroku! A wszyscy proszą uprzejmie o uznanie, ocenienie umiejętności, wszyscy chcą się poszczycić zdaniem sławnych ludzi! A co za niewdzięczność, co za oburzenie, gdy krytyka nie wypadnie podług ich życzenia! Nienawidzę tego z całej duszy i uważam to za prawdziwe poniżenie sztuki! Czasem spotyka się rzeczywisty talent w połączeniu z niekłamanem zamiłowaniem zawodu, ale ileż żelaznego zdrowia, jakich silnych nerwów i energii potrzeba do tego, aby iść dalej, na raz obranej drodze i nie upaść pod intrygami agentów, impresariów, nie zważać na współzawodnictwo, reklamy, zawiść i zazdrość! Bo łaska publiczności zależy od przypadku i jest zmienną i z pomiędzy stu wybranych dochodzi ledwie jeden do celu. Ilu ofiarami trzeba okupić sławę, jak trudno utrzymać ją, mianowicie w naszym stuleciu, gdzie biegłość i umiejętność imponowania zastępuje nieraz prawdziwy geniusz... i to z powodzeniem!

— To wszystko prawda — rzekłam po chwili milczenia — ale czy pan sądzisz, że kto prawdziwie sztukę kocha i pragnie się jej poświęcić, da się odstraszyć takimi słowami?

Dornet uśmiechnął się i poruszył głową.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ciągle jeszcze można odnowić przedpłatę na „TYGODNIK NARODOWY“

„Tygodnik Narodowy“ kosztuje rocznie . 9.— koron.

„ „ „ półrocznie 4.80 „

„ „ „ kwartalnie 2.40 „

Przedpłatę należy przysyłać do Administracji „Tygodnika Narodowego“

..... w Krakowie, ul. Wiślna 2.

:: HUMORYSTYKA ::

Kto bogatszy?

— Powiedz mi pan, panie Bolesławie, kto jest bogatszy, czy ten co ma sto tysięcy marek majątku, czy ten co ma 10 córek?

— Naturalnie, że pierwszy — brzmi odpowiedź Bolesława.

— A ja jestem przeciwnego zdania — twierdzi zapytujący.

— Dla czego?

— Bo ten co ma sto tysięcy, nie poprzestaje na tem i chce mieć jeszcze więcej, a ten co ma dziesięć córek, zadawała się tem co ma, i więcej ich nie żąda.



W cyrkule.

— Jak się pan nazywasz?

— Lejzor Trojak.

— Czem się pan trudnisz?

— Jestem cokolwiek kupiec.

— Jakiej klasy?

— Używanej.

— Co to jest za klasa?

— To z przeproszeniem pana takie klase, co krzyczy: handel, handel! i kupuje używane garderobe.



Czy żyją dłużej?

— Dlaczego pan się nie żeni, panie Władysławie, przedłużyłbyś pan o wiele w takim razie swoje życie. Przecież wiadomo powszechnie, że żonaci żyją dłużej niż kawalerowie, — mówiła do swojego znajomego nieprzyjaciółka celibatu u mężczyzn.

— Myli się pani — brzmiała odpowiedź Władysława — tak się tylko wszystkim zdaje.

— Jakto, zdaje się? — nie rozumiem.

— Bo widzi pani, żonaci w rzeczywistości nie żyją wcale od nieżonatych dłużej, tylko im się z powodu przysmaków małżeńskich życie więcej dłuży.



— Tatusiu chciałbym być na twojem miejscu.

— No, to coby ci z tego, Salciu, przyszło?

— To jabym dał zaraz talara Salci.



O chłopku nierobku.

Krąży w świecie bajka stara,
Coś od wieków już pół kopy:
Że był sobie chłop niezdara,
Ale za to chłop nad chłopcy.

Bo nad podziw był on chwacki;
Gębę miałci jakby z rzepy,
Wzrost jak wieży Maryackiej,
A zaś łapy jakby cepy.

Lecz choć setne był chłopisko,
Zasię trzymał się tej cnoty:
Choćbyś mu się kłaniał nisko,
Za nic nie szedł do roboty.

Już ci taką miał on modę,
Taki honor, taką wolę:
Kosił wiatry, grabił wodę,
Ale ani rusz na pole!

I cóż w bajce tej się kryje?
Jaki sens w niej utajony?
Oto, że w nas każdy żyje
Dotąd chłop ów niezmieniony...

Tak leniwy jak przed laty,
I największy wróg sam siebie;
Los mu ciągle sypie baty,
A on tylko w grzbiet się skrobie...

Wł. Bekza.



Obu uszczęśliwiła.

— Na twojej twarzy maluje się radość, co cię spotkało?

— Oświadczyłem się dziś pannie Julii i zostałem przyjęty... Ale i ty jesteś dziwnie rozpromieniony?

— Bo mnie, mój kochany, przed paru godzinami panna Julia odesłała pierścionek zaręczynowy.



Nasze usprawiedliwienia.

— Jakto? I tyś tu w takiej knajpie?

— A ty?

— Ja tylko wpadłem na chwilę, aby zobaczyć, kto tu bywa.

— I ja również.

Zał. 1891.

Zał. 1891.

St. Mańczak

Fachowy złotnik i jubiler z 28-letnią praktyką

Tel. 640. Poznań ul. Berlińska 7. Tel. 640.

Największy i najstarszy polski zakład złotniczy i jubilerski

poleca

wyroby złote, srebrne oraz biżuterię

od najtańszych do najwykwintniejszych. Wybór ogromny. Ceny bez konkurencji.

Szkoło - Porcelana

Kryształ

Komplet. wyprawy kuchenne.

Tace - Łyżki - Noże - Widelce.

Wypożyczalnia szkła i porcelany

Serwisy
niklowe

Br.

Śniegocki

Formy do
pieczenia

„Hestia“

Magazyn sprzętów kuchennych.
Poznań ul. Rycka 33.

Telefon 1549.

Telefon 1549.

Tapety

z fabryk krajowych i zagranicznych, jak francuskich, angielskich, czeskich i amerykańskich.

Tapety jedwabne (Teece) i skórzane.

:: Tapety do zmywania ::

Linoleum.

Dywany i chodniki linoleumowe.

Ceraty.

Wszelkie próby i kosztorysy na żądanie franko.
Jedynie specjalne polskie przedsiębiorstwo tej branży na Poznań i W. Ks. Poznańskie.

**Centralny Dom Tapet
KOCZOROWSKI & Co.**
Poznań, Stary Rynek 80.

BANK ZIEMSKI

e. G. m. b. H.

**GNIEZNO,
ul. Farna 3.**

kupuje i parceluje posiadłości ziemskie — pośredniczy w kupnach, sprzedażach i dzierżawach, nabywa i reguluje hipoteki — załatwia wszelkie w ten zakres wchodzące transakcje — przyjmuje zastęstwa w sprawach subhastacyjnych, przyjmuje depozyty, płacąc proc. według umowy.

Rada Nadzorcza:

556-9

Dr. Tomaszewicz, prezes. T. Prabucki, wiceprezes.
A. Thiel. W. Królówczyk. Ks. Formanowicz.
L. Śmielecki A. Tabaczka. St. Fenrych. W. Piechocki.

Zarząd:

K. Barciszewski. B. Cetkowski. S. Kucik.

Gdzie składa się każdą sumę oszczędności

zupełnie pewno, korzystnie i z dochowaniem absolutnej tajemnicy?

W istniejącym 24 lata i stojącym pod patronatem X. Wawrzyńskiego banku

„Kasa Wzajemnej Pomocy“

w Poznaniu, Stary Rynek 45, I.
(Posen, Alter Markt 45, I.) 571-2

Pensjonat dla przyjezdnych p. Izabeli Wadzyńskiej przy ul. Podgórznej 14, I p. przejęłam i polecam przybywającym do Poznania na czas dłuższy lub krótszy.

Wanda z Kantaków Malinowska. 756

Oświetlenie elektryczne, łazienki w pensjonacie, salon do użytku gości. Ceny niskie.

M. Jankowski

*

*

*

Poznań,
Wrocławska 15.
Telefon 1741.

Krzyże — Pomniki

**Nagrobki,
Nadstawki**

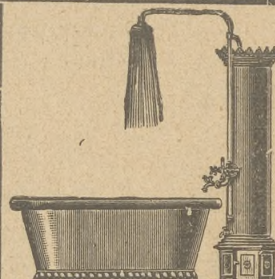
na umywalki,

Płyty na stoliki,

Urządzenia

dla cukierni, kawiarni,
piekarzy, golarzy
i rzeźników.

Przy wszelkich zakupach prosimy powoływać się na ogłoszenia
:: w piśmie naszym ::



Fabryka 510-14

wanien kąpielowych

wszelkiego rodzaju.

A. Stanek, ul. Długa 18.

Telefon 762. — Katalogi
:: ilustrowane gratis ::

**Tapety
Linoleum
Sztukaterie**

i wszelkie przybory do malarstwa artystycznego
:: i pokojowego ::

Cenniki 651

na żądanie franko.

L. Modrzejewski

Inowrocław

Telefon 491.



Pełczyńskiego

ulepszone gramofony zwane

Pełkofonami

są

:: najtańsze i najpraktyczniejsze ::

Polskie płyty

do gramofonów

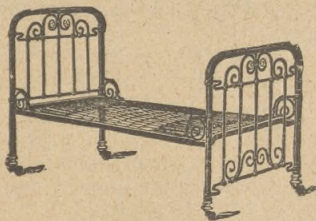
po 1.75 mk.

Olbrzymi wybór płyt. Około 500 numerów stale na składzie.

Spisy płyt i cenniki bezpłatnie.

St. Pełczyński — Poznań.

ul. Wodna 13, na I. piętrze.



Wagi kuchenne
Kociołki do bielizny
Węborki em. i cynk.
Garnki żel. i emal.
Wanienki emal. i cynk.
Łyżki — Łyżeczki
Noże i widelce
Żelazka do prasow.
Deski do prania

Łóżka wyśc. od 6.50

mk. począwszy

Łóżka żelaz. od 6.25

mk. począwszy.

Umywalki z komplet.

z garnitur. od 2.90 m.

począwszy.

Maszynki do mięsa

Maszynki do bułek

Młynki do kawy

Maszynki do gotow.

Maszynki do chleba

Dzbanki emal. i blasz.

Konewki do polew.

Kasetki do listów

Stoły — Ławki ogrod.

Drabki, klatki

Szczotki, Szufelki itd.

poleca

Stefan Twardowski, Stary Rynek 79.

Skład sprzętów kuchennych i domowych.

RESTAURANT DUCHOWSKI

plac Wilhelmowski 5.

Polska kuchnia

— poleca —

smaczne tanie obiady

Wieczorem obszerny spis potraw.

Wyborne piwa w różnych gatunkach

Telefon 1953.

Telefon 1953.

Poznań O. I, ul. Kohleis 22 (przy ul. Młyńskiej).

Dyrektora B Heimanna zakład przygotowawczy

do egzaminów służby jednorocznej, prymy i abitur., również do każdej klasy wyższego zakładu naukowego. Na św. Michał 1909 złożyli egzamin wszyscy uczniowie. Ureg. pensjon. — Prospekty darmo i franko.

**MYDŁO
REGERA**

stwarza

wszystko

doskonalej



bez mydła Regera

nie tak czysta



bez mydła Regera

nie tak piękna



bez mydła Regera

nie tak świeżą



z mydłem Regera

nadzwyczaj

czysta



z mydłem Regera

bardzo

delikatna



z mydłem Regera

zadziwiająco

blyszcząca

Specjalny skład
i fabryka
garderoby męskiej
i dla
chłopców

Poznań,
St. Rynek 57.
Telefon 1215.

J. Lisiecki

Filia w Wrześni
Rynek 24.
Telefon 126.

Zamówienia
podług miary.
Skład sukna krajowego i zagranicznego.

Założ.
1847

Antoni Rose

Telef.
381

Poznań — Bazar

Zakład litograficzny i drukarnia

Fabryka książek kontowych
i rejestrów gospodarczych

Skład materiałów piśmiennych,
galanterijnych i skórzanych.

311-14

Wielki wybór torebek damskich.

Tapety

Linoleum



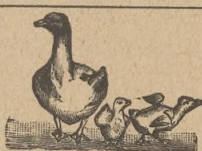
Pierwszy swojski wyrób!
Żądajmy jej wszędzie i nie bierzmy nic innego.
Poznańska Chemiczna Fabryka
Kazimierz Chmielewski, Poznań.

Eksport Masła.

Plac Działowy nr. 11,
narożnik placu Sapieżyńskiego.

Najlepsze masło stołowe funt **1.30** mk.
Wędzonka funt **0.80** mk.
Wątrobianka własnych wyrobów . . . funt **0.80** mk.

Adres: **Roman Tilgner**
Pleschen — Pleszew



drugi adres:

Roman Tilgner Berlin O. 27.
Blumenstr. 76.

Kto raz kupił jest stałym odbiorcą, dowolna wymiana towaru, lub zwrot pieniędzy, nad 20,00 marek franko za zaliczką.
Cena za funt:

Pierze szare, niedarte funt à —,85 Mk
„ gęsie, darte pół białe „ à 1,98 „
„ „ „ białe puszy I „ à 2,55 „
„ „ „ śnieżno białe „ à 3,05 „
„ „ „ najlepsze „ à 3,60 „

Próby w małych kolekcjach wysyłam każdemu na żądanie franko.

Agenci lub krawcowe otrzymują dużą kolekcję prób zawierającą **plótno, linony, walisy, perkale, satyny, damasty, jedwabie, batysty, krepy** oraz wszelkie materiały na suknie codzienne, balowe i spacerowe, także próby kortów i kamgarów.

Własna fabrykacja bielizny damskiej, męskiej i dziecięcej
Cenniki ilustrowane franko. 698-700

Ziemanin, kawaler lat 29, przystojny, posiadający własnego kapitału około 90 tysięcy mk. poszukuje na tej drodze

towarzyszek życia.

Panienci, przystojne, niekoniecznie z równym kapitałem, gospodarne, raczą łaskawie osobiście lub też za pośrednictwem rodziców oferty z dołączeniem fotografii złożyć w Ekspedycji Głosu Wielkopolek pod nr. 855.

:: **Tanie czeskie pierze na pościel** ::



10 funtów: nowego dobrze d. rtego 8 mr., lepszego 10 mr., białego jak kwap miękkiego, datego 15-20 mr., śnieżno białego jak kwap miękkiego, datego 25-30 mr.

Wysyłka franko i wolna od cła za zaliczką. Wymiana i zwrot towaru, za zwrotem porta, dozwolona.

Benedicht Sachsels, Lobes 342. Post Pilsen, Böhmen.

Patenty

na wynalazki itd.

Dr. Maryan Kryzan
rzecznik patentowy.

Poznań Rycerska 33.

Polecam mój **bogato**
zaopatrzony skład
szkła

porcelany
oraz **wielki wybór**
lamp.

Wypożyczalnia
serwisów
na obchody okazyjne
i wesela

P. Bąkowska
Wielka Berlińska 65

Wdowiec

licz. 60 lat, przemysłowiec, posiadający domostwo w w wartości do 20,000 marek i otwarty interes poszukuje dla braku znajomości pań na tej drodze starszej

panny lub wdowy, z mniejszym majątkiem. Łaskawe oferty z fotografią uprasza się pod nr. **888** do Administracji „Głosu Wielkopolek”. Dyskretya rzecz honorowa.

Kawaler

(Galicyanin) lat 36, inteligentny, z zawodu kupiec, pragnie nawiązać korespondencję z inteligentną panią z dobrego domu w celach matrymonialnych. Majątku posiada 50.000 kor., pochodzi z dobrej rodziny. Pośrednictwo rodziców lub opiekunów byłoby wielce pożądane. Zgłoszenia pod nr. **887** do Adm. „Głosu Wielkopolek”. Anonimy bez odpowiedzi.

Drogerzysta, syn rólnikaz dobrej rodziny, dzielny fachowiec, liczący lat 25, przystojny i inteligentny, szatyn z dobrym charakterem, mający zamiar objąć wspólnie z bratem większy interes, poszukuje dla braku stosownych znajom., na tej drodze

towarzyszek życia.

Panienci średniego wzrostu, miłego usposobienia, gospodarne w wieku 18-23 lat, posiadające około 15-20 tys. mk. raczą łask. oferty wraz z fotografią nadesłać pod nr. **819** do Administracji Głosu Wielkopolek. Zwrot fotografii. Dyskr. rzecz honorowa. Anonimy się wyprasza

Kawaler,

organista na dobrej wiejskiej posadzie, szuka dla braku znajomości pań na tej drodze

towarzyszek życia.

Panienci milej powierzchowności i prawego charakteru, nie starsze nad 21 lat, posiadające cokolwiek majątku, upraszam o przesłanie swych ofert wraz z fotografią do Adm. „Głosu Wielkopolek” pod nr. **934**. Dyskr. rzecz honoru; anonimów nie uwzględnia się.

Nauczyciel, wdowiec 53 lat, dwoje dorosłych dzieci na stanowiskach, poszukuje

żony.

Panny lub bezdzietne wdowy, w wieku 40-50 lat, z większym majątkiem, zechcą łask. złożyć swe oferty możliwie z dołączeniem fotografii do Eksp. „Głosu Wielkopolek” pod nr. **845**. Zwrot fotografii odwrotny. Dyskretya rzecz honoru. Agentów się wyklucza.

Kawaler, Polak, katolik, w 32 roku życia, przystojny, milej powierzchowności, dla braku znajomości pań, poszukuje na tej drodze

towarzyszek życia.

Panny lub młode wdówki mające chęć wyjść za mąż, zechcą swe oferty z dołączeniem fotografii przysłać do „Głosu Wielkopolek” pod nr. 861.

Kawaler, rolnik 25 lat liczący z majątkiem 25.000 mk., chciałby się wżenić w posiadłość ziemską i poszukuje dla braku stosownych znajomości, na tej drodze

towarzyszek życia.

Młode panny zechcą się zgłosić z dołączeniem swej fotografii do Administracji „Głosu Wielkopolek” pod nr. 860. Dyskretya rzecz honorowa.

Młody inteligentny polak-katolik, pracujący w banku, chciałby wstąpić

w stan małżeński

z panną lub młodą wdową polką, mającą kapitałik niewielki. Łask. oferty uprasza się do Adm. „Głosu Wielkopolek” pod nr. **935**. Dyskretya rzecz honoru.

Magazyn mebli

i zakład tapicersko-dekoracyjny

Kajetana Dudziaka

W KRAKOWIE, ul. Floryńska I. 36, I. p.

== Kraków, ulica Zyblikiewicza 9. Telefon 796. ==

MECHANOLECZNICZY

ZAKŁAD ZANDEROWSKI

Lecznica chirurgiczno-ortopedyczna.

Oryginalne aparaty Zandera.

Gimnastyka lecznicza. — Pracownia dla sporządzania gorsetów, sztucznych kończyn, opasek przepuklinowych i t. p. — Leczenie gorącym powietrzem. — Mięsenie. — Elektryzowanie.

Aparat Röntgena. — Sala operacyjna. — Pokoje dla chorych.

Leczenie garbów, skrzywień kręgosłupa i kończyn, chorób stawów i kości, gośceń, arytmii i t. p.

Zakład otwarty od godz. 9-1 i od 4-6.

Dr. Alfred Merz.

Dr. M. Staszewski.

Dr. Zygmunt Wachtel.

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią
zadowolić tutki cygaretowe

„Framos“

z watą „SALVESOL“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, więc nie dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Właściwości te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

„WATA SALVESOL“

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio mocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. Każdy palący tytoni, chcąc uniknąć zatrucia nikotyną, powinien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol“.

Oryginalny pakiet „Waty Salvesol“ wystarcza na 200 do 400 papieros. lub cygar.

1000 sztuk tutek „Framos“ 3 korony. 10 cygarniczek 1 kor. 20 hal. Pakietek waty „Salvesol“ 30 lub 60 hal.

Zakład przem. wyrob. papierowych „Noris“

Mr. W. Bełdowski, Kraków.

Dyplom honorowy na wystawie w Krakowie 1901.

W. Sznajdrowicz

Kraków, Rynek, Linia A-B L. 45, I. piętro
nad apteką pod „Białym Orłem“

Filia w Krynicy na deptaku pod „Orłem“
: i w Żegiestowie, w Domu Zdrojowym :
poleca Szanownej P. T. Publiczności

Główny skład i pracownię PELERYN

zakopiańskich i tyrolskich,
damskich, męskich i dziecięcych
po bardzo niskich cenach
oraz wielki wybór serdaków
i wszelkich stroi zakopiańskich
i krakowskich.

15

19

Zamówienia i reperacje skutecznie
:: się w najkrótszym czasie ::



K
N
A
P
I
Ń
S
K
I

Zakład własny wytrobów ortopedycznych Łudwika Knapińskiego

dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga

do leczenia skrzywień kręgosłupa i chorób kończyn stawowych, bandaż, pasy, gorsety, pończochy gumowe bez szwu, prostotrzymacze dla dzieci, nogi sztuczne i szczudła.

Wykonywane wedle wskazówek WP. Profesorów i lekarzy, odznaczone na wystawach lekarskich złotymi medalami.

Knapiński, Kraków, Mikołajska 7.

Telefon 505.



Wszelkie żurnale mód

francuskie, angielskie i wiedeńskie
cena 1 K.. z przesyłką K. 1.40, za
zaliczką K. 1.65

szczególnie żurnal sezonowy

Favorit

na wiosnę i lato 1911 zawierający około 1000 modeli jakoteż **GOTOWE KROJE** na suknie, kostyminy, żakiety, spódnice, szlafroki, matynki, bieliznę damską i męską, rękawy, ubiory dla dzieci itd. oraz manekiny na wszelkie miary poleca **M. LANDAU, Kraków, ul. Mikołajska 7.** Dla prenumeratów w Krakowie dostawa do domu bezpłatna.

Sila i skuteczność
prawdziwej maści centyfoliowej
dawniej zwanej **maścią cudowną**



Zapobiega i usuwa zatrucie krwi. Czyni zbytecznymi operacje. Znajduje zastosowanie przy zataśmowaniu odpływu mleka, stwardnieniu piersi, różny wszelakich zastarzałych cierpieniach, otwartych ranach w nogach, nogach nabrzmiałych, ranach, nawet przy pruchnięciu kości; przy rozmaitych ranach, pochodzących z ułtucia, postrzału, zacięcia; przy wyciąganiu z ciała wszelkich obcych przedmiotów, jak szkła, skałek, piasku, śrutu, koleców, etc.; przy wszystkich opuchlinach, karbunkulach, nowotworach, nawet przy raku; przy rozmaitych opuchlinach, oparzelinach, odmrożeniach, ranach skutkiem długiego leczenia, czyrakach na szyji, odmrożeniach uszu, zranieniu dzieci etc. Mniej niż dwie paczki nie wysyła się; wysyła tylko z poprzednim nadesłaniem pieniędzy albo za pobraniem. Dwa słoiki kosztują 3 K. 60 h.

Jedyné źródło do sprowadzenia **Apteka pod Aniołem stróżem A. Thierry w Pregrada** obok Rohitsch.

Do nabycia we wszystkich większych aptekach i hurtowniach w medyc. drogeriach.



Alles echter Balsam
aus der Schützengel-Apothek des
A. Thierry in Pregrada
bei Rohitsch-Sauerbrunn.

Znany powszechnie, jedynie prawdziwy balsam 12/2 albo 6/1 albo 1 olbrzymia flaszka familijna 5.60.

Polskie firmy,

które chcą się zaprowadzić w kołach naszych czytelników winne ogłaszać w bardzo rozpowszechnionym

„Tygodniku Narodowym”

K. Zieliński,

— optyk —

Kraków, Rynek, A-B 34

Poleca obficie zaopatrzone magazyny wyrobów optycznych, oraz pracownie, przyjmuje do reperacji maszyny do pisania wszelkich systemów, gramofony i t. p.

**LAWN - TENNIS,
RAKIETY, PIŁKI,
PIŁKI NOŻNE,**

Przybory do ryb-
łóstwa.
PERFUMY, MYDŁA
i **PUDRY**, kraj., franc.
i angielskie
polecają najtaniej

REIM i Ska. Kraków
Rynek 37. Linia A. B.

Gwiazdka Cieszyńska

pismo poświęcone wiadomościom politycznym, nauce, przemysłowi i zabawie, założone w 1848 r. przez **Pawła Stalmacha**, wychodzi w Cieszynie w środę i sobotę. Informuje dokładnie o stosunkach śląskich, zajmując się przede wszystkim sprawami narodowymi i ekonomicznymi polskiej ludności rolniczej i robotniczej.

Cena prenumeracyjna z przesyłką pocztową wynosi
całorocznie 7 k — półrocznie 3 k 50 h,
kwartalnie 1 k 75 h.

Za ogłoszenia płaci się 20 h od wiersza drobnego; przy kilkakrotnem umieszczeniu daje się znaczny rabat.

Adres: **Redakcja i Administracja „Gwiazdki Cieszyńskiej” — Cieszyn, ul. Schodowa 3.**